

STRONY: 8. 9.

FILM
DYDAKTYCZNY

- Potrzeby
i rzeczywistość

10. 11.

ROSJA
WE KRWI
SKAPANA

★
CZAPAJEW

5. 6. 7.

REPORTAŻE
ARMENIA
SYBERIA
KUBAŃ

5.

BUŁAT
OKUDŻAWA

Wiersze

4.

NIEPOKORNA

reportaż
o dziewczynie

ODGŁOSY

ROK XVII NR 45 (884)

7 LISTOPADA 1974 ROKU

CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



REKOMENDACJE

Obecny, 16-kolumnowy numer „Odgłosów” ukazuje się w 57 rocznicę Rewolucji Październikowej. Tradycyjnie, jak co roku, publikujemy z tej okazji wiele materiałów publicystycznych i literackich: przypominamy pamiętne wydarzenia 1917 roku i dzień dzisiejszy Związku Radzieckiego.

Na historyczne wydarzenia postanowiliśmy spojrzeć przez pryzmat literatury: prozę Artoma Wiesiolego, opowieść Furmanowa o legendarnym Czapajewie, wiersze Majakowskiego i współczesnego poety Bułata Okudżawy. Współczesność Kraju Rad znajdziecie w reportażach naszych stałych autorów: Tadeusza Gicgiera, Feliksa Rajczaka i Jerzego Wilmańskiego, którzy odwiedzili Kubań, Armenię i Syberię. Natomiast Wojciech Klimek w syntetycznym artykule pisze o historycznej roli Rewolucji Październikowej. Na 2 kolumnie prezentujemy również skrótowy bilans współpracy kulturalnej z Krajem Rad.

Z pokłosa konkursu na reportaż o Ziemi Łódzkiej publikujemy prace Zygmunta Wójcika p.t. „Niepokorna”, której bohaterką jest młoda działaczka ZMS ze Zgierza.

Jak zwykle sporo uwagi poświęcamy teatrowi. Tym razem Teatrowi im. S. Jaracza — i to od strony rampy, i od strony kulisy. Kazimierz A. Lewkowski recenzuje najnowszą premierę głośnej swego czasu sztuki „Tango” Sławomira Mrożka, natomiast Andrzej Sroczyński pisze o ludziach, którzy nie występują na scenie, ale bez których teatr byłby niemożliwy. Do ludzi teatru (już bez konkretnego adresu) zwraca się żartobliwie swoimi fraszkami Horacy Safrin.

W „słowniku pisarzy łódzkich” — sylwetka twórcza Jana Czarnego.

Prezentujemy obecny numer w pewnym sensie monotematyczny, ale nie brakło w nim miejsca na stałe pozycje: felietony, recenzje, serwis informacyjny z kraju i świata.



WOJCIECH KLIMEK

57 lat PO PAŹDZIERNIKU

W historii narodów i państw bywają wydarzenia, które mają przełomowe znaczenie dla rozwoju całej ludzkości. Niewątpliwie wydarzeniem takim była Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa, której kolejną, 57 rocznicę właśnie obchodzimy. Od niej rozpoczyna się nowa epoka rozwoju społecznego — powstanie i rozwój światowego systemu socjalistycznego. Dopiero teraz zaczęły się urzeczywistniać marzenia wielu pokoleń humanistów — postępowych myślicieli i działaczy, o sprawiedliwości społecznej, braterstwie i współpracy wolnych narodów i ich pokojowym rozwoju.

Bezpośrednim rezultatem Rewolucji Październikowej było przekształcenie wielkiej i biednej Rosji w potęgę światową, w Państwo Radzieckie, które od 57 lat w poważnej mierze wpływa na rozwój współczesnego świata. Pierwsze dekryty władzy radzieckiej — dekret o pokoju i dekret o prawie narodów do samostanowienia w radykalny sposób zmieniły zasady polityki międzynarodowej i dyplomacji. Dla Polski szczególnie ważne znaczenie miał dekret o prawie narodów do samookreślenia. Anulując traktaty rozbiorowe, był istotnym elementem sukcesu naszej walki o niepodległość. Dla wszystkich narodów uciskanych i wszystkich wyzyskiwanych powstanie, rozwój i umocnienie państwa dyktatury proletariatu stało się ważnym czynnikiem ułatwiającym ich walkę o wyzwolenie narodowe i społeczne.

Wzrzenie rewolucji lat 1917—1919, a szczególnie rewolucje na Węgrzech i w Niemczech ułatwiły Rosji Radzieckiej przetrwanie w najtrudniejszym okresie. Ten dług zaciągnięty u klasy robotniczej świata został już hojnie spłacony przez Związek Radziecki, szczególnie przez jego udział w walce przeciwko faszystom i hitlerzom. Oparta na zasadach proletariackiego internacjonalizmu polityka zagraniczna Związku Radzieckiego od wielu lat jest gwarancją pokoju światowego i wolności narodów. Obecnie sam fakt istnienia ZSRR i światowego obozu socjalistycznego ułatwia walkę klas wyzyskiwanych i zmusza do ustępstw naszych klasowych przeciwników.

Dalszy ciąg na str. 3

25 LAT

TEATR NOWY PROPONUJE



„Ciemności kryją ziemię”

Po warszawskim sukcesie „Kubusa Fatalisty” w Teatrze Nowym trwają przygotowania do premier, których terminy zbliżają się z dwudziestą piątą rocznicą działalności tej zastępczej dla kultury miasta i kraju sceny.

Powołany do życia przez Grupę Młodych Aktorów Teatr Nowy już pierwszą swoją pozycją — „Brygada szlifera Karbana” Kani (premiera 12 listopada 1949 roku), niezwykłą zarliwoscą zaangażowania ideowo-artystycznego jego twórców zwrócił na siebie powszechną uwagę nie tylko Łodzi, ale całej Polski. Zainteresowanie to utrzymało się przez wiele następnych lat, skupiając się szczególnie silnie wokół tak wybitnych pozycji, jak m. in. — z prapremier pierwszych sezonów — „Laźnia” Majakowskiego, „Święto Winkelrida” Andrzeja Jędrzejewskiego i Zagórskiego czy „Ciemności kryją ziemię” Andrzeja Jędrzejewskiego — wszystkie w opracowaniu dramaturgicznym i reżyserii KAZIMIERZA DEJMKI, pierwszego dyrektora i kierownika artystycznego, ponad 12 lat prowadzącego Teatr Nowy. Z całego tego okresu poza wymienionymi, szczególne uznanie zyskały sobie realizacje BOHDANA KORZENIEWSKIEGO: „Don Juan” Mollera, „Nie-boska komedia” Krasińskiego, „Sprawa” Suchowo-Kobyłina, zaś z Hecnych prac KAZIMIERZA DEJMKI — „Horsztynski” Słowackiego, „Henryk VI na łowach” Bogusławskiego, „Trzy siostry” Czechowa, „Noc listopadowa” i „Akropolis” Wyspiańskiego czy „Zaby” Arystofanesa obok zajmujących dziś szczególne miejsce w dziejach teatru polskiego, a na tej scenie powstałych: „Żywota Józefa” Reja i „Historii o Chwałebnym Zmarływach Pańskim” Mikołaja z Wilkowiecka. Z teatrem współpracowali w tym okresie reżyserzy (m. in.): JERZY ANTCZAK, JERZY MERUNOWICZ, JANUSZ WARMINSKI oraz scenografowie: IWONA ZABOROWSKA, JOZEF RACHWAŁSKI, ANDRZEJ STOPKA, ZENOBISZ STRZELCKI, JOZEF SZAJNA.

W styczniu 1962 roku kierownictwo teatru objął WOJCIECH PIŁARSKI, aktor i reżyser, związany z tą sceną od początku jej istnienia. Do najciekawszych przedstawił z okresu jego dyrekcji należą: „Brytanik” Racine’a i „Czerwona magia” Ghelderode’a w realizacji TADEUSZA MINCA oraz „Ten, który dotrzymuje słowa” i „Księżniczka Turandot” w reżyserii JOZEF GRUDY.

Latą dyrektora JANUSZA KŁOSIŃSKIEGO (64—70) charakteryzując wielokierunkowo poszukiwań repertuarowych od Plautusa i Eurypidesa do najnowszej literatury (Mrozek, Różewicz, Borowicz, Abramow, Gawiłk, Bryll, Beckett, Ionesco), ze szczególnym uwzględnieniem twórczości Fredry, Wysoka ocenę zyskały sobie inscenizacja „Życia Galliusza” Brechta, „Tkaczy” Hauptmanna, „Pierścienia wielkiej damy” Norwida, „Snu srebrnego Salomei” Słowackiego.

We wrześniu 1970 roku kierownictwo Teatru Nowego objął JERZY ZEGALSKI. Proponowany przez niego repertuar szczególnie silnie akcentuje konieczność prezentowania pozycji najnowszych bądź dotąd nie znanych polskiemu widzowi, siłą w czteroletnim bilansie 42 pozycji aż 12 prapremier, m. in. „Prometeusz” Andrzeja Jędrzejewskiego, „Poemat otwarty” Różewicza, „Karabiny” Grochowiaka, „Kocłol” Mularczyka, czy z dramaturgi obcej — „Opowieści laski wiedeńskiej” Horvatha, „Urodziny” Whitinga, „Ofiary obowiązków” Ionesco, „Proces o Andersonville” Levitta.

Od maja br. opiekę artystyczną nad Teatrem Nowym sprawuje KAZIMIERZ DEJMEK, który od stycznia 1975 roku ponownie obejmuje dyrekcję tej sceny.

12 listopada — dokładnie w rocznicę pierwszej premiery — odbędzie się w Teatrze Nowym uroczysta premiera prawsa komedii Pierre’a de BEAUMARCHAIS „WESELE FIGARA, ALBO DZIEŃ SZALEŃSTWA” w przekładzie i reżyserii BOHDANA KORZENIEWSKIEGO, scenografii TERESY ROSZKOWSKIEJ z muzyką TOMASZA KIESEWETTERA.

W roli Figara debiutuje na scenie Teatru Nowego — po rocznym pobycie w Teatrze Powszechnym PIOTR KRUKOWSKI. Zuzanne gra tegoroczną absolwentką łódzkiej szkoły teatralnej — BARBARA DZIEKAN, hrabini Almavivę — MAREK BARBĄSIEWICZ, a hrabini Rozynę również po raz pierwszy występująca na scenie Nowego, dotychczasowa aktorka Teatru Jaracza — MIROSLAWA MARCHELUK.

14 listopada br. na scenie MAŁEJ SALI TEATRU NOWEGO zaprezentowany zostanie „SIODMY ANIOŁ” Zbigniewa Herberta. Wyboru tekstu dokonał KAZIMIERZ DEJMEK, który zarazem opracował je scenicznie. Autorką scenografii jest IWONA ZABOROWSKA, a opracowania muzycznego — ANNA PŁOSZAJ. W przedstawieniu udział biorą: RYSZARD DEMBINSKI, WLADYSŁAW DEWOYNO, ANDRZEJ MAY, TADEUSZ SCHMIDT, BOGUSŁAW SOCHNACKI, RYSZARD STOGOWSKI, MIECZYSLAW VOIT i JAN ZDROJEWSKI.

Reżyser JERZY GOLINSKI rozpoczął niedawno w Teatrze Nowym próby dramatu Szekspira „HENRYK VIII”. W rolach bohaterów, których dzieje oglądamy w aktualnie emitowanym przez TV serialu „Sześć żon Henryka VIII” — wystąpią: BARBARA HORAWIANKA (królowa Katarzyna), MIROSLAWA MARCHELUK (Anna Bullen, późniejsza królowa), WOJCIECH PIŁARSKI (kardynał Wolsey), BOGUSŁAW SOCHNACKI (król Henryk VIII) i MIECZYSLAW VOIT (kardynał Kampejusz). Premiera przewidziana jest w połowie grudnia br.

W listopadzie Teatr Nowy swoim Bywałcom i Przyjaciółom — poza nowymi premierami — proponuje: satyrę sceniczną M. Bałuckiego „Cieżkie czasy”, a na scenie Małej Salii: komedie Wilde’a „Brać marnotrawny”, mini-musical Osieckiej „Aplet na czeresniu” i wieczór teatralny wg Diderota „Kubus Fatalista”.

WSPÓŁPRACA KULTURALNA

KSIEGA PRZYJACIÓŁ

Braterskie więzi łączące narody Polski i ZSRR znajdują swe trwałe i bogate egzemplifikacje również na polu współpracy kulturalnej. 57 rocznica Rewolucji Październikowej to także okazja do uświadomienia sobie wszechstronności istniejących od lat powiązań kulturalnych, wyrażających się wymianą książek, filmów, sztuk teatralnych, dzieł muzycznych i plastycznych, doświadczeń ruchu amatorskiego, a także bliskich i serdecznych więzi między samymi twórcami.

Zilustrujmy je, chociaż w najwięcej skrócie, przykładami z kilku dziedzin twórczości.

LITERATURA

Kontakty pisarzy polskich i radzieckich mają swą długą historię. Już w latach dwudziestych nasza lewica artystyczna odegrała ważną rolę w upowszechnieniu wiedzy o kulturze ZSRR. Tłumaczono poezje Majakowskiego, w 1934 r. ukazały się przekłady „Cichego Donu” i „Zoranego ugoru” Szolochowa. W Polsce Ludowej literatura rosyjska i radziecka zajmuje pierwsze miejsce na liście przekładów. W 30-leciu ukazało się w naszym kraju blisko 3800 tytułów, a do najpoczytniejszych autorów należą: Gorki, Gajdar, Lew Tołstoj, Katajew, Czechow.

Również utwory pisarzy polskich cieszą się dużą popularnością w ZSRR. Pod względem liczby wydań i nakładów nasza literatura znalazła się w pierwszej piątce razem z literaturą francuską, angielską, amerykańską i niemiecką. Najczęściej wydawani autorzy to — z klasyków — Mickiewicz, Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa — ze współczesnych — Iwaszkiewicz i Lem.

FILM

Dzięki swym wartościom humanistycznym i artystycznym film radziecki uzyskał trwałą pozycję w repertuarze

polskich kin. Wysoki poziom radzieckiej kinematografii idzie w parze z zainteresowaniem naszej widowni. Około 10 milionów widzów średnio rocznie ogląda filmy radzieckie, szczególnie w „Dniach Filmu Radzieckiego”, które w bieżącym roku zainaugurował film S. Kołosowa „Zapamiętaj imię swoje”, zrealizowany w koprodukcji z naszą kinematografią. Współpraca radzieckich i polskich filmowców przynosi interesujące rezultaty. Obecnie reżyser B. Poręba pracuje nad filmem o Jarosławie Dąbrowskim wg scenariusza J. Nagibina. Nasi twórcy współpracują przy przygotowaniu wielkiego cyklu filmowego pt. „Komuniści” Jurija Ozierowa, który ukazuje wkład partii komunistycznych i robotniczych w rozgromienie faszyzmu.

TEATR

W 30-leciu na scenach naszych teatrów zaprezentowano ponad 1000 premier sztuk rosyjskich i radzieckich, utworów zarówno klasycznych jak i współczesnych. Z okazji 50 rocznicy powstania ZSRR 38 naszych teatrów dramatycznych wystąpiło z 43 premierami. Najlepsze z nich zostały zaprezentowane w Katowicach na Festiwalu Sztuk Radzieckich, który już od lat zadomowił się w tradycji życia kulturalnego naszego kraju.

Również polska publiczność miała możliwość bezpośrednio zapoznać się z czołowymi radzieckimi scenami. Gościliśmy MCHAT, teatry im. Wachtangowa, Mossowietu, Majakowskiego, Sowieckiego, Moskiewski Teatr Satyry, teatry z Leningradu, Kijowa i innych miast. Z kolei wiele naszych teatrów miało okazję zaprezentować się radzieckiej publiczności, jak np. ostatnio Teatr Narodowy z Warszawy występujący w Moskwie i Leningradzie.

MUZYKA

Od 1945 roku odwiedziło Związek Radziecki ok. 170 polskich zespołów muzycznych i

ponad 500 solistów. Zasłużoną sławę zdobyli sobie wśród radzieckich melomanów takie zespoły, jak: WOSPRITV, Filharmonia Narodowa, Opera Poznańska, Warszawski Teatr Wielki, chór Stuligrosza, „Mazowsze” i „Śląsk”. Z kolei w kraju gościliśmy ponad 200 radzieckich zespołów muzycznych i ok. 650 solistów. Gościliśmy znakomite zespoły (orkiestry filharmoniczne Wszzechzwiązkowego Radiokomiteu, Moskiewski Teatr Wielki, balet Moisiejewa, zespół „Bieriozka”, chór Swiesznikowa, Piatnickiego i in.) i znakomitych solistów tej miary co Ojstrach, Richter, Gilels, Ulanowa, Plisiecka.

Wiele polskich i radzieckich placówek muzycznych nawiązało stałą współpracę i wymianę, jak np. Teatry Wielkie Warszawy i Moskwy, Teatr Wielki w Łodzi i Opera w Tbilisi.

PLASTYKA

Współpraca w dziedzinie plastyki jest może mniej imponująca niż w dziedzinach wymienionych poprzednio, ale także rozwija się owocnie. Zorganizowaliśmy w ZSRR ponad 250 ekspozycji malarstwa, grafiki, rzeźby, sztuki ludowej. Sztuka dawna i współczesna Narodów Związku Radzieckiego prezentowana była w latach 45—73 na 760 wystawach w naszym kraju.

* * *

Wszzechstronne i owocne są także kontakty twórców i działaczy kultury Łodzi i Ziemi Łódzkiej z zaprzyjaźnionymi środowiskami artystycznymi Iwanowa, Smoleńszczyzny, Mińska i Tbilisi. Kontakty instytucji, ludzi nauki, kultury i sztuki dały w efekcie dziesiątki i setki faktów zapisanych trwale w naszym dorobku kulturalnym i naszych przyjaciół.

J. W.

K. F.

KIEDY NASI ZA GRANICĄ...

stała z wielkim zadowoleniem, wykonana reszta była aktorsko bardzo sprawnie, a wokalista z małymi wyjątkami, świetnie. Może też brany był serio przez panów przewrotny moral tej opowieści, który głosi, że tylko w polskiej krainie niewiasty potrafią dochować wierności mężom wyprawiającym się na długi czas poza dom rodzinny. Niegroźny nawet taki znany Casanova, jak Zeus, który umie spaść na spragnioną jako złoty deszcz, podsunąć się do niej jako łabędź, ba szturmować ją jako potężny byk, gdzie indziej skutecznie, a u nas nawet w przebraniu nieobecnego małżonka — bez rezultatu. Mężczyźni słuchali tego pusząc się w zadufaniu, a kobiety z tajemniczym uśmiechem.

Oglądaliśmy następnie operę

to zastępuje, stanowi też wdzięczne tło dla wykonawców obu śpiewanych ról — skąpego starca, którego doprowadza do ołtarza sprytna i powabna służąca. Śpiewacy wywiązali się z piekielnych trudności technicznych swoich partii doprawdy śpiewająco.

Obie opery wyreżyserował znakomicie, z wielkim wyczuciem teatru Jan Kulma, piękna i funkcjonalna scenografia stworzyła Zofia Wierchowicz, a nad muzyczną stroną całości czuwał Stefan Sutkowski, szef artystyczny teatru i zarazem kierownik muzyczny grającego w operze znakomitego zespołu „Musicae antiquae collegium varsoviense”.

Ponadto na deskach Teatru Wielkiego produkował się w następnych dniach wybitny ze-

spół baletowy Conrada Drzewieckiego „Polski zespół tańca” z Poznania pokazując przez pięć wieczorów trzy programy, znane już z Łódzkiej Spotkań Baletowych. I tym razem świetny zespół nie zawiodł swoich zwolenników (o czym — na innym miejscu).

Wreszcie w tym bogatym to wydarzeniu muzyczne okresie łódzka wyższa uczelnia muzyczna gościła grupę artystów z USA, których przyjazd do Polski zbiegł się z setną rocznicą urodzin twórcy współczesnej muzyki amerykańskiej, Charlesa Ionesca. Wystąpili w gmachu szkoły wybitni wirtuozi — pianista David Burge i kontrabasista Bertram Turetzky, solo i wspólnie z grającą na flecie żoną Nancy Turetzky, a całość tego trzydniowego sympozjum dla łódzkiego środowiska muzycznego prowadził doskonale znawca sztuki, Daryl Dayton, doradca muzyczny Centrum Informacyjnego USA, ilustrując swoje interesujące wykłady przy pomocy sprzętu audio-wizualnego.

Pobył amerykańskich muzyków w mieście był pierwszym, niezwykle pożytecznym i tak bliskim kontaktem w dziedzinie sztuki i zapoznał łódzkich muzyków w tym młodzieży uczelni, z twórczością o odrębnym obliczu i z uznanymi jej wykonawcami.

No, ale dobrze, że wrócili z szerokiego świata łódzcy muzycy, pełni satysfakcji z odniesionych za granicą artystycznych sukcesów. Teraz będą znów musieli się starać, żeby i nam się nadal podobać.

J. K.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ SŁOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz). Stałe współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

57 LAT PO PAŹDZIERNIKU

Dalszy ciąg ze str. 1

57-letnia historia państwa radzieckiego w całej rozciągłości potwierdziła słusność wewnętrznej i zagranicznej polityki stworzonej przez W. I. Lenina i realizowanej przez KPZR do dnia dzisiejszego. Na przykład, zwróćmy uwagę na rozwiązanie kwestii narodowej w ZSRR. Szczególnie interesująca jest tu historia powstania i rozwoju radzieckich republik środkowoazjatyckich i Kazachstanu. W niebywale krótkim okresie czasu, z pominięciem trudnego i tak uciążliwego dla mas pracu-

produkcja energii elektrycznej przekroczy bilion kilowatogodzin.

W związku ze Świętem Rewolucji, tradycyjnie już w ZSRR dokonuje się podsumowania efektów działalności we wszystkich dziedzinach życia radzieckiego społeczeństwa, jego sukcesów gospodarczych, politycznych i kulturalnych, dyskutuje się nad perspektywami ich dalszego rozwoju. Również ostatnio prasa radziecka informowała o wystąpieniu sekretarza generalnego KPZR — Leonida Breżniewa na posiedzeniu Rady Ministrów ZSRR. Stwierdził on, że

w następnej pięcioletce przeznaczą 35 mld rubli.

Mimo niesprzyjających warunków atmosferycznych (susza w r. 1972 i 73 oraz chłodne i nadmierne wilgotne lata w br. w Rosyjskiej Federacji), dzięki planowej realizacji całocięciowego Programu rozwoju rolnictwa, opracowanego przez KPZR, gospodarka rolna ZSRR wyraźnie przyspiesza tempo produkcji żywności, upraw przemysłowych i artykułów hodowlanych. Na przykład, w latach 1971—1973 średnia roczna produkcja zboża wynosiła 130,5 mln ton, a więc o 23 mln ton więcej niż w poprzedniej pięcioletce.

W przededniu rocznicy Rewolucji Październikowej szczególne refleksje nasuwają się przy analizie układu stosunków międzynarodowych, istniejących w początkowym okresie państwa radzieckiego i istniejących obecnie. Świat kapitalistyczny nie chciał nawet dyskutować nad wysuniętymi przez W. I. Lenina propozycjami pokojowego współistnienia państw o różnych systemach społeczno-politycznych i propozycją powszechnego i całkowitego rozbrojenia, wysuniętą w latach 30-tych przez delegację Związku Radzieckiego w Lidze Narodów.

Trzeba było olbrzymich cierpień i ofiar milionów ludzi w wojnie przeciwko hitleryzmowi i takiego militarne umocnienia ZSRR, które jego potencjał militarny (szczególnie rakietowo-nuklearny) pozwala traktować jako przeciwwagę sił militarnych całego obozu imperialistycznego, aby przestraszeni politycy burżuazyjni uznali za konieczne i możliwe dyskusowanie nad tymi zagadnieniami. Różnorodnie i licznie obecnie kontakty dwustronne ZSRR z najpoważniejszymi państwami kapitalistycznymi i ich wspólny udział w konferencjach międzynarodowych, poświęconych tym właśnie problemom, świadczą o realizmie radzieckiej polityki zagranicznej.

Musimy przy tym pamiętać, że główną gwarancją pokoju światowego jest siła całego obozu socjalistycznego, którego podstawowym ogniwem jest Związek Radziecki.

Święto Rewolucji jest dla Związku Radzieckiego największym i najpoważniejszym świętem państwowym, połączonym z organizacją masowych demonstracji i pochodów, akademii i imprez rozrywkowych. Choć na większości terytorium ZSRR listopadowa pogoda często niesie z sobą deszcz i śnieg lub deszcz ze śniegiem, w pochodach, zabawach i festynach ludowych uczestniczą miliony ludzi. Niezależnie od kapturów aury, potrafią oni do późnych godzin nocnych bawić się na tzw. „świeżym powietrzu”, tańczyć i spie-

Jedną z cech szczególnych obecnego rozwoju gospodarki radzieckiej jest coraz większa wszechstronność



wał w spontanicznie organizowanych grupach. Dla obywateli Związku Radzieckiego Święto Rewolucji ma również charakter święta osobistego, do którego przygotowują się całe rodziny. Z tej okazji przeżywają sobie pozdrowienia, gratulacje i życzenia, spotykają się z rodzinami i przyjaciółmi. Stosując ten zwyczaj, my również dołączymy nasze życzenia, pomysłowości i szczęśliwej przyszłości dla Związku Radzieckiego, jego narodów i obywateli.

WOJCIECH KLIMEK

Dr Wojciech Klimek — kierownik Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu.



jącego stadium kapitalistycznego rozwoju, został tam stworzony nowoczesny przemysł i przebudowano na socjalistycznych zasadach gospodarkę rolną. Było to możliwe tylko dzięki temu, że z dochodów centralnych regionów ZSRR dokonywano redystrybucji środków budżetowych w formie dotacji do budżetów, poszczególnych republik środkowoazjatyckich. Takim sposobem, w okresie pierwszych pięcioletek (lata 1928/29 i 1932/33) w budżecie Tadżyckiej SRR, wynoszącym 417 mln rubli aż 290 mln stanowiło dotacje rządu radzieckiego; w niektórych latach 73 proc. wydatków budżetowych Turkmeńskiej SRR było pokrywanych z dotacji rządu ZSRR. W krótkim czasie zlikwidowano analfabetyzm i zacofanie kulturalne. Znany jest aktualny poziom rozwoju przemysłowego i wysoki stan kultury rolnej tych republik radzieckich. Tak oto konkretna realizacja leninowskiej polityki narodowościowej zapewniła najbardziej zacofanym republikom szybki rozwój postępu technicznego i dynamiczny wzrost materialnego i kulturalnego poziomu życia ich obywateli.

Innym przykładem słusności leninowskiej polityki, realizowanej przez KPZR do dnia dzisiejszego, jest polityka gospodarcza. Podczas, gdy krajami kapitalistycznymi ciągle wstrząsają inflacje łączące się z zastojem ekonomicznym, a politycy i ekonomiści zachodni gorączkowo szukają wyjścia z tej trudnej sytuacji, planowa gospodarka ZSRR rozwija się konsekwentnie, zgodnie z założeniami i wytycznymi sformułowanymi przez partię na jej kolejnych zjazdach. Mimo szeregu obiektywnych i subiektywnych trudności, gospodarkę radziecką cechuje szybkie i stale rosnące tempo rozwoju.

Szczególnie szybkie tempo rozwoju wykazują galezie decydujące o postępie naukowo-technicznym, jak budowa maszyn, chemia i petrochemia, produkcja narzędzi i środków mechanizacji i automatyzacji. W okresie, kiedy cały świat przeżywa trudności surowcowe i kryzys paliwo-energetyczny, Związek Radziecki pomyślnie realizuje i przekracza planowe zadania umocnienia i polepszenia technicznego wyposażenia bazy paliwowo-energetycznej gospodarki narodowej — na przykład, w 1973 r.

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

DOBRCZE!

(FRAGMENTY)

Dmuchał,
jak zawsze,
wiatrami
październik,
jak dmucha
za kapitalizmu.
Skrecały
tramwaje
na most przy Giserni
szyn
wyslizganą krzywizną.
Rzeka Nawa
wre
pod mostem,
Nową
płyną statki.
Zimowemu się nie ostać
przed szturmem
kronsztadzkich
W szalonym aucie,
przyśpieszając bieg,
skulony tak,
że aż w poduszkach znika,
za Gátczyne
po cichu
zmykał ex. —
„W kozi róg
zbuntowanych niewolników!...”
Patrzą
oczy gwiazdozbiorów,
z ulicy Milionnej,
w kleszczy chwyt
Zimowy biorąc,
ciągną bataliony.
A w Smolnym
myśląc
o bitwie i wojsku,
Lenin
odmierza kroki w komnatach,
i stojąc przed mapą
Antonow z Podwojskim
znaczą szpilkami
miejsca na atak.

A potem —
poprzez miasto
i ponad —
grom
„Aurorowych” kanonad.
i oto
ledwo
odgłosów gra
przebrzmiała,
groźna i zła —
nad cytadelą
podniósł się
blask,
powstania umowy znak.
— Precz z nimi!
Naprzód!
Zaczynać szturm! —
Wpadli.
Na parkiet!
Pod złoty kaseton!
Przed każdym stopniem,
pod każdym murem
bili się,
depcąc
po ciałach kadetów.
Jak powódz,
płynąc
pomiędzy ścianami,
znów się łączyli
nad każdą z ofiar
i
ekspłodował
bojów dynamit
przed każdym wejściem,
przy każdej sofie.
Przez tę
amfiladę,
gdzie bito pokłony
jedynowładcom
kapiącym od złota,
w donośne krążanki,
w sale koronne,
grzmiąc buciskami
waliła hołota.

A w Smolnym
tłumy,
słuchając orędzia,
głoszły
pieśnią
komunikaty.
Pierwszy raz
zamiast:
— to będzie... —
śpiewano:
— to jest
nasz ostatni... =

Przekład: Artur Sandauer

— Nie będzie jej łatwo ścignąć — „grozi” mi przewodniczący Zarządu Miejskiego ZMS, Kucharczyk. — Śmiała, mądra, umie mówić, ale przechwalać się nie chce. Ciągłe jest skromna, zwyczajna, taka swoja — dodaje tę frazę jakby na usprawiedliwienie tej dziewczyny i... własne.

I

A jednak dochodzi do spotkania. Bardzo szybko potwierdza się to, co usłyszałem o niej wcześniej. Myślę: mają niezłe rozeznanie w ludziach. A Zuza Politi to ich człowiek. Słucham jej pilnie od początku. Nauczony jakimś domorosłym aforyzmem: gdy się spotykasz z kobietą pozwól jej mówić, decyduję się na jej monolog. Styszę w nim w miarę rozwijających się wydarzeń, życie dziewczyny, problemy pracownika i zwierzczenia, wreszcie pa-sję działaczki. Moment zastanowienia z domieszką niedowierzania: i to wszystko zdarzyło się w jej 22-letnim życiu?

Przyjechała do Zgierza z leżyczką wsi, by się uczyć. W rodzinnym domu mówili: będzie tkaczką. I tak się stało. Kiedy ukończyła technikum miała szansę wyboru, poszła do Zakładów im. Pietrusińskiego.

— Byłam na początku wszędzie. Ktoś poszedł na urlop, ktoś nawalił, inny zachorował, wtedy ja go zastępowałam. Popychano mnie gdzie się dało. Po roku awansowałam na brankę tkanin gotowych. Wszyscy wokół mnie byli starsi, głównie kobiety. Niektóre z bogatym życiorysem. Na nie dobrego dla mnie nie zanosiło się. „Zobaczysz, że ten chleb jeszcze nieraz nie będzie ci smakował” — ostrzegali niby troskliwie.

To był pierwszy ważny rozdział w jej biografii. „Ty wiesz, co to pracować „na placu”? — pytano. Kręconym nosem. Wokół 200 kobiet. Mężczyźni gdzieś indziej, jak to w wielkiennictwie.

W zakładzie zapisała się do ZMS. Kolo było martwe, jak pan Bóg przykazał. Aż dziw, że przypadkowo pojechawszy na wycieczkę krajoznawczą w grupie młodych, rozmawiano także o losie kolo. Poznała nowych ludzi. Po powrocie z eskapady rozpoczął się jakiś dziwny ferment. Krytykowano marazm, zastój, malkontentstwo, ale wszystko działo się „sobie a muzom”.

— Podobno w tej krytycznej dyskusji wiodł prym — przypomina Zuza. — W roku 1970 zostałam podmi- strzem. Miałam już wielu kolegów. W czasie śniadań czy po pracy, rozmawialiśmy na temat konferencji zakładowej ZMS, gdzie miałam zabrać głos. Powiedziałam o swoim kole. Być może nie była to jeszcze moja pełna obserwacja, ale spostrzeżenia były świeże i robiły wrażenie. Wybrano mnie do Zarządu. Trochę na zasadzie: „Jeśli nie podoba ci się praca kolo — sama kieruj nim lepiej”. Zostałam więc też przewodniczącą kolo wydziałowego. Teraz cały swój czas wolny poświęca- lam na pracę w tym właśnie kole.

II

Przysłowie: „Pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki” potwierdziło się w każdym dniu, przy każdej inicjaty- wie.

— Pracowałam na 2 zmiany, ale ile tylko mogłam rozmawiałam w wolnych chwilach z ludźmi. Chciałam ich zaangażować do odnowy życia orga- nizacji, jak najwięcej ludzi. Zżywałam się. Gdy się czegoś podejmowali, było im głupio gdy nawalił. Urząd- ziliśmy najpierw świetlicę, objęliśmy patronat nad kąciakiem śniadani- wym, poczyniliśmy wiele w zakresie propagandy wizualnej. Starsi zaczęli się z nami liczyć, młodzi czuli respekt przed całym kolektywem. Chociażby taki przykład: w zakładzie różnie by- wa, zdarzają się trudności. Do chwili, gdy ja przyszedłam do kolo bywało tak, że koledzy, którzy pracowali w maga-

zynie, miewali spore przestoje w zaję- ciach, po prostu czekali na towar nie robiąc. W tym samym czasie ich ręce przydałyby się ogromnie na in- nym dziale. Zaproponowaliśmy, by nie stali z założonymi rękami. Zrozumieli, szli na inne wydziały, włączali się do roboty. Albo gdy mieli czas zapo- nawali się z działaniem nowo spro- wadzonej maszyny. Cieszyłam się jak dziecko, że moje argumenty trafiły. Zaczęliśmy wspólnie ustalać i zatwier- dzać plany pracy. Każdy miał prawo a nawet obowiązek wysuwania pod ogólną rozprawę tematyki zebrań. Sta- rałam się, żeby wszyscy współuczest- niczyli w życiu kolo, byli za to, co się dzieje, współodpowiedzialni. Imienne przydzielanie zadań, sprawna organi- zacja pracy — to bardzo ludzi mobi- lizuje.

W roku 1972 zdawałam na politech- nikę. Nie powiodło się. W przyszłym roku spróbuję od nowa. Nie załama- lam się. Znowu pochłonęła mnie pra- ca. Zostałam brygadzistką przy tkani- nach surowych.

Zuza zdobywała powoli najwyższe szlify. Uczyla się ciągle tego, czego żadna szkoła nie uczy: umiejętności współżycia z ludźmi. Z robotnikami, tymi co to żadnych szkół nie prze- szli, ale za to takcie bogactwo doświad- czeń, że niejednego technika czy in- żyniera mogłyby przeszkolić. Żeby się przed nimi nie skompromitować Zuza „pani podmiistrz” — jak ją nazywali, spędziła na świeżo wiele wieczorów nad fachową literaturą.

„Kobieta a radzi sobie jak chłop” — komentowali jedni.
„Taka młoda, co ona umie, co ona będzie wiedziała” — mawiali drudzy.
„Tu trzeba chłopca energicznego, z twardą ręką, a nie takiej...” — wzu- rzali ramionami jeszcze inni.

Zaczęto mówić, że robi karierę. Kiedy teraz to powtarza rozjaśnia się jej twarz. Przypomina sobie szty- ką Brylla „Kurdesz”. Twórcą w tym swoim współczesnym dramacie powie- dział na ten temat: „mówić o Polsce: kariera — myśląc o ojczyźnie, za- miast: ojczyzna wrzeszcząc myśląc o karierze”.

— To słowo nigdy nie będzie do mnie pasować — oponuje zdecydowa- nie. — To prawda, że obok sukcesów w pracy zawodowej przyszły wyróż- nienia w pracy społecznej: radna WRN, dyplom ZMS, odznaka im. Jan-

ka Krasickiego, delegatka na ubiego- roczny Zlot Młodzieży. Ten kredyt za- ufania zaskakuje mnie i dopinguje do coraz lepszej pracy. Jako radna chcia- labym pomóc kobietom-matkom, ro- botnicom Zgierza. W zakładzie nie ma przedszkola. Mamy już fundusze na dwie takie placówki, ale jak zwykle brak wykonawcy. Moim konkretnym zadaniem jest tego wykonawcę zna- leźć. Muszę to załatwić.

III

Tamten nieudany start na politech- nikę nie zraził jej, nie pokonał. W tym roku zrezygnowała, bo nie miała kie- dy przygotować się do egzaminów wstępnych. Oprócz obowiązków zawo- dowych i społecznych — prawie każde

które przydadzą się do filmów, do oprowadzania po nich wycieczek „jak to kiedyś bywało”.

— Przychodzę nieraz z budowy do domu (mieszkałam u brata) tak zmęczo- na, że się mi nie chce. Zasympiam przed telewizorem. Sama się dziwię, że później następnego dnia znowu mnie „coś bierze”, coś pcha. Założy- lam na wydziale punkt biblioteczny, otrzymaliśmy od dyrekcji salę, w któ- rej urządziliśmy klub. Z budową nie- długo koniec. Czekały na mieszkania wszyscy. Pewnie, mogłabym sobie za- łatwić szybciej, ale nie chcę żeby po- tem powiedziano, że pomogła mi w tym praca społeczna. Nawet wtedy, gdy moja nieobecność w związku z jakimś posiedzeniem czy wyjazdem jest w pełni usprawiedliwiona, po

nie się sprawom małym. Przypomni- nam np. w radzie zakładowej, że pre- mie dostają tu wyłącznie ludzie star- si „bo długo pracują”. A co młodzi, którzy też solidnie i dobrze pracu- wali — pytam? To wywołalo pewne konflikty. Starsi odchodzili, to zdarza- ło się, że nie chcieli przekazać tajni- ków swojej pracy, jej specyfiki. Nie jestem bezkrytyczna wobec młodych, wobec kolegów. Są i tacy, co zbyt szybko, niecierpliwie chcą awansować, czasem niezasłużenie. Z tymi sprawa- mi zwracam się do organizacji partyj- nej, do kierownika działu wykańczalni Konstantego Kurzeja. Przypominamy o ludzkiej, godnej postawie wszyst- kim. Jak się zna życie ludzi, z który- mi się pracuje, to o wiele łatwiej o prestiż. Tu nie pomoże krzyk, kwiec- isty język. Bez podnoszenia głosu — czego zresztą chyba nigdy się nie nau- czę i nie chcę — dwa razy poleceń powtarzać nie potrzebuję — kończy Zuza.

Kiedy mówi: — Nie mam zupełnie czasu dla siebie — można pomyśleć, że marnuje młodość. A jednak wszyst- ko jest inaczej. Udowadnia to na każdym odcinku. Dokumentuje swo- ją postawę nie na sesjach, ale w pierw- szym rzędzie na co dzień. W normal- nej zwykłej pracy. Jest ciekawą, odpowiedzialną. Wprowadza się na- nowy artykuł do produkcji. Trzeba zdecydować, jakie potrzebne jest za- łożenie środków służących do wyko- nania. Jeśli brak jednego, trzeba dać zastępczy, wcześniej przeprowadzić próby, dokonać chemicznej kapielki. Wszystko musi być najwyższej jako- ści. 80 procent produkcji wysyła się na eksport. Czy możemy nawalić? A szczególnie wtedy, gdy wszyscy na człowieka patrzy, a do siebie mówią ciekawo, co daje dzisiejsza szkoła? Co daje organizacja? Co daje to społecz- ne szparanie się?

— Trzeba na to odpowiedzieć, tu w hali produkcyjnej i poza nią. Jesteś- my np. budowniczymi parku XXX-lecia w Zgierzu. Przepracowaliśmy w zakładzie dwie niedziele dyrektorskie. Stajemy się coraz bardziej potrzebn- i, coraz bardziej widoczni. Moje kolo ZMS w dziale wykańczalni oce- niane jest jako najlepsze. Myślę, że trochę na wyrost. Może być jeszcze lepsze. Pod każdym względem. Każ- dego powinno stać na umiejętnym wy- korzystaniu szans awansu społeczno- zawodowego. Trzeba tylko mieć oczy otwarte i wiedzieć, czego się chce.

— A kontakt z domem? — pytam.
— Mam tylko mamę i rodzeństwo. Mama ciągle na wsi na swym małym gospodarstwie. Jeśli tylko mam wolną sobotę i niedzielę, nie mogę sobie darować by nie odwiedzić matki. Zre- szta domaga się tego ode mnie i do- skonale to rozumiem dlaczego. Myślę, że także i dlatego, by się trochę po- kazać przed innymi „co to moja cór- ka zwojowała”. Chociaż można tym także wzbudzić zawiść. Gdyby mi się np. coś nie powiodło, to wtedy mówi- łyby się: „A tyle latala, a tyle dzia- łała. I nawet i to jej nie pomogło! Przykłady na taką postawę można znaleźć i w rodzinnej obsłudzinie. Gorzkie, bo gorzkie, ale są.

— Niepokora? — powtarza przy- mnie Zuza.
— To chyba dobre słowo! Dobrze pan wybrał! Niepokorność!
Spotkanie z niepokorną — myślę i tak już zostało.

ZYGMUNT WÓJCIK

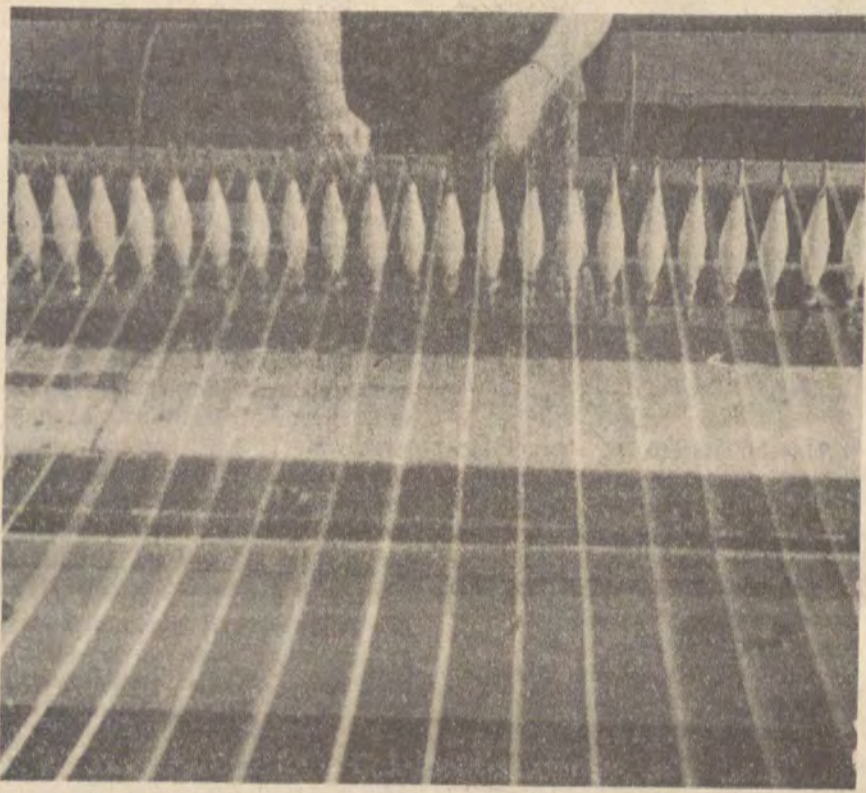
NIEPOKORNA

wolne popołudnie poświęca na pracę w zetemesowskim patronacie budowa- lanym.

— Mieszkanie to podstawa dla młodego człowieka. Nie ma się co oglądać, że jakoś tam będzie. Dzisiaj w Zgierzu czeka się na mieszkanie kilka lat. ZMS buduje 50 mieszkań patronackich. Udział każdego z nas wynosi 40 procent kosztów. Blok już stoi. Pracujemy każde popołudnie, raz w Zgierzu, innym razem w Aleksan- drowie, Łodzi, Strykowie. Na gwiazd- kę będzie choinka w nowym miesz- kaniu. Liczę już z „poślizgiem” — dodaje Zuza.

przyjeździe idę dodatkowo odpracowa- ć opuszczone godziny, zostaje po pracy. Wiem, że czegoś nie zrobiłam, że muszę to zrobić sama. Nie melduję nawet kierownikowi, żeby mi wpisy- wał godziny nadliczbowe. Po prostu pracuję. Taka jest moja powinność.

W tym roku jadę na obóz na Wę- gry. Ale w zeszłym byłam w ZSRR. Kiedy mi zaproponowano znowu wy- jazd, powiedziałam, że pojedę, ale tyl- ko w takim przypadku, gdy nie bę- dzie nikogo chętnego. Spośród tych co jeszcze nigdzie nie byli. Pracuję społecznie, ale i tu jest potrzebna po- stawa, która musi być akceptowana



Fot. Włodzimierz Parys

Tak liczą wszyscy. Patrzą na nich, na tych młodych, jak się sprawdzą jeszcze tu. Patrzą, jak ginie powoli ten „tkacki Zgierz biedaków”, jak zostaje jeszcze jedna czy dwie uliczki,

przez cały kolektyw. Ta praca to mo- ja pasja. To nie jest poświęcenie się dla wielkiej sprawy. Powiedziałabym nawet, jeśli już słowa „poświęcenie” używać — że jest to raczej poświęca-



Fot. Włodzimierz Parys

Jan Czarny urodził się 15 lipca 1918 roku w Kaliszu. Przed wojną studiował na Wydziale Ogólnym Państwowego Instytutu Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Te plastyczne zainteresowania prze- trwały do dziś — Czarny zajmuje się kry- tyką malarstwa, a także czynnie uprawia malarstwo posługując się najczęściej techniką temperowa w połączeniu z re- liefem. Poza tym jest redaktorem w Studio Opracowań Filmów (od początku istnienia tej instytucji), a ma na swo- im koncie także kilka eksperymental- nych scenariuszy filmowych.

Pierwszym samodzielnym tomikiem Czarnego były „Fraszki”, wydane w ro- ku 1952 nakładem PIW. Niedawno ukazały się „poważne” wiersze Czarnego, a w 1966 roku tom opowiadań „Tre-

JAN CZARNY

sonowany motyl” zaprezentował go jako prozaka.

Wymienione trzy dziedziny — fraszkopisarstwo, poezja, proza — są wszak różne stylistycznie, zaś fakt uprawiania ich przez jednego człowieka sytuuje autora w szeregu twórców operujących w różnych pod względem gatunkowym rejonach literatury. Debiut fraszko- pisarski był z pewnością udany, mamy tu bowiem do czynienia z niewątpliwym talentem w tej dziedzinie, co potwier- dziły w kilka lat później „333 fraszki” (Wydawnictwo Łódzkie, 1959).

O tomie tym słusznie napisano, że ujawnia „dobrą robotę literacką, praw- dziwy „zmysł epigramatyczny”, i ma- dra a dowcipna refleksja”. Fraszkę ze- braną w tym tomie są daleko dojrzalsze i bardziej literacko wyrażone od poprzednich; większa jest ich różno- rodność: od dowcipu politycznego, po- przez fraszki frywolną i filozoficzną, aż po rymowane doinki pod adresem ludzi i spraw codziennych. „333 fraszki” zawierają ponadto epigramaty i a- foryzmy oraz utwory, pisane w maleń- kiej formie literackiej, zwanej „bon mot”. Szczególnie te ostatnie właśnie (plus — częste epigramaty) zasługują na uznanie, gdyż — mimo swej z grun- tu trudnej formuły — są konstruowane w sposób czytelny i zaskakująco logicz- ny.

W siedem lat później — a więc po- tak długiej, jak poprzednio, przerwie — ukazały się w Wydawnictwie Łódzkim „Fraszki i antyfraszki”, obszerny zes- taw humorystycznych spostrzeżeń, wy- dobywających nie zawsze dostrzegane zjawiska naszej codzienności. Tomik ten dał dowód, że Czarny osiągnął rzeźd dla

fraszkopisarza najcenniejszą — celność wypowiedzi, zdolność syntezy, wyczu- cie znaczeniowych możliwości języka. Wa- ro też nadmienić, że Czarny zaprojektował również obwołaną swej książką, wy- konał rysunki i opracował układ graficz- ny.

Bezpośrednim względem w twórczość stricte poetycką Jana Czarnego mogą być dwa zbiorki: „Spojrzenia” („Iskry”, 1956) i „Parę lat”, który ukazał się w ramach „Biblioteki Poetów” Wydawni- ctw Łódzkiego w roku 1963. Wiersze zaprezentowane czytelnikom w 1956 ro- ku są składanką kilku możliwości poe- zyjowania: znajdujemy tam wiersze białe obok rymowanych, są reminiscen- ce wojenne, a po nich utwory „prywa- tne” treści. W tomiku „Parę lat” ze- brano teksty bardziej nasycone doś- wiadzeniem poetyckim od poprzednich; niejednokrotnie dają się tu zauważyć inklinacje autora w kierunku minima- lizmu środków poetyckich (co u autora fraszek dziwić nie powinno). Niektóre utwory odznaczają się ponadto origi- nalnym układem wersów (np. „Pomór”, „Biegająca”, „Gra”).

Jako prozak Jan Czarny zaczynał od mniejszych form — w książce „Treso- wany motyl” (Wydawnictwo Łódzkie, 1966) znalazło się trzydzieści dziewięć krótkich opowiadań, w których wuzu- walne są pewne nateciałości, będące efektem „przyszywania” do miniatu- rowych, nierzadko lapidarnych, ujęć li- terackich. Mamy tu do czynienia z oso- bliwymi przejawami groteski, groteski często zamykanej, ledwie zauważalną, pointą i wzbogaconej (niekiedy na tym oparte) o humor dialogowy. Nadre- alizm tych prozatorskich miniatur tkwi

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

korzeniami w niespożytej fantazji kre- acyjnej, a przenoszenie akcji na plaszczyznę absurdu zdaje się być przejawem dążenia do osiągnięcia parabolii li- terackiej. Czasami odnosi się wrażenie, że przesłanki niektórych pomysłów są zapożyczone z „poważnej” literatury, co mogłoby wskazywać na jakąś parodię stylu, ale to chyba pozory. Wystarcza- jaco silna jest bowiem sugestia auten- tyczności przemyslenia.

Następna książka to już powieść. O „Albinosie” (Wydawnictwo Łódzkie, 1967) można powiedzieć, że jest to gi- gantyczna metafora, zbudowana z sze- regu sytuacji niezwykle śmiało wyobra- żonych, a przypominających w swym kształcie artystycznym groteskę, czy ra- czej makabreskę. Dużo racji miał Wła- dław Sadkowski, który porównywał wi- zyjność myślową Czarnego z filmową wyobraźnią Skolimowskiego. Książka opowiada o młodym, przybyłym z prowincji człowieku, który wpada w obłęd poszukiwania. Jest to poszukiwanie ob- sesyjne, bo wkrótce traci on i obiekt, i sam sens poszukiwania, a jednak na- dal wypatrjuje bliżej nie określonego „czegoś”, co jest powodem odczuwanego braku. Wysiłek bohatera nie zyskuje jed- nak rozwiązania, zostaje zawieszony w próżni.

I w tym momencie można wyprowa- dzić pewne paralele stawiając obok siebie „Albinosa” i „Zacieki” (Wydaw- nictwo Łódzkie, 1970). Ta ostatnia po- wieść również „nie kończy się”; zakoń- czenia dziełowej przedstawionej posta- ci i odpowiedzi na postawione w tek- ście pytania musi się domyślać indy- widualnie czytelnik. Poza tym, że wględu na nawarstwienie skrótów fabularnych

i odniesień, będących zapewne pochod- ną subtelnej wrażliwości Czarnego, truo- dno dostrzegaliśmy jest wymowa niektó- rych faktów, jak choćby tego, że ukazu- jące się ponownie zacieki w pokoju są punktem wyjścia do kolejnej, budo- wanej spirali „kroniki wydarzeń”, której jednakże pisarz nie sporządził pozostawiając niedopowiedzenie. Warto zauważyć, że tekst, wraz z jego formal- ną funkcją, potraktowano w tej książ- ce w taki sposób, że z równym powo- dzeniem — przy swej formie narracyj- nej — może ona być pojmowana jako dziennik osobisty pisarza.

Aby obraz twórczości Jana Czarnego był pełniejszy dodać należy, że wiele jego utworów (szczególnie tych „mnie- jszych”) poszło m. in. w „Poezji”, „Twórczości”, „Szpilekach”. Swych la- mów używała Czarnemu (także łódzka prasa, aktualnie autor „Albinosa” przygo- wuje do druku obszerny zbiór fraszek i aforyzmów (z własnymi ilustracjami). Będzie to chyba ciekawy materiał dla czytelników, bo Jan Czarny w owych krótkich, najczęściej rymowanych wiers- zkach łączy się najlepiej; jest mi- trzem drobnej obserwacji i dys- kretniej aluzji, które ujmują językowo w blaskotliwej formie. Nieobca jest mu także cięta krytyka skracza się ośmie- szającym dowcipem. Ale nade wszystko cenić trzeba we fraszkach Jana Czarnego fakt podnoszenia ich do spraw is- totnych — to właśnie warunku ich aktualność i wartość społeczną.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

KORRESPONDENCJA z ZSRR SYBERIA



Fot. Janusz Kupiecki

JERZY WILMAŃSKI

BAJKAL - ZACZAROWANE JEZIORO

(KORRESPONDENCJA z ZSRR)

Ostatniego września, pod wieczór, port lotniczy w Nowosybirsku powoli zaczął się zamieniać w gigantyczną sypialnię. Irkuck nie przyjmował samolotów — szalała burza śnieżna... Ludzie spali w fotelach i na rozłożonych płachtach gazet.

Dwadzieścia cztery godziny później zobaczyliśmy pryzmy śniegu, ułożone wzdłuż pasów startowych i betonowych podjazdów. W ciągu doby port lotniczy w Irkucku uporał się z kilkudziesięciocentymetrową koldrą śniegu. Był pierwszy październik — w Polsce drzewa jeszcze stały zielone.

A potem w pokoju hotelu „Syberia” siedzieliśmy przed telewizorem, oglądając wiadomości dziennika. Ktoś przypadkowo spojrział na zegarek — dochodziła piąta rano. W Polsce był wczesny wieczór, zaledwie dziewiąta, a my oglądaliśmy retransmitowany przy pomocy satelity program moskiewski.

Tu jednak był Irkuck, ten czas się liczył i za trzy godziny mieliśmy wyruszyć nad Bajkał. W Irkucku pałał śnieg, na chodnikach leżały pryzmy brudnego śniegu. Zaczynała się zima.

Rankiem wyruszyliśmy w siedemdziesięciokilometrową podróż nad jezioro, które tutaj nazywają morzem. Uleciały mi gdzieś z damieci władomości ze szkolnej geografii i tylko hukła się ta fraza z tęskliwej pieśni „Na stepach za dzikim Bajkałem”, choć nad Bajkałem nie ma stepów, jest tylko tajga.

Jechaliśmy zobczem doliny Angary, wśród lasów złoto-zielonych. Mdrze wie żółtkie, w kolorze yellow bahama i zielone świerki; białe, delikatne brzozy wygięte w pałak, setki, tysiące brzozy z koronami złotych liści, przylgnięte do ziemi mokrym śniegiem... Jechaliśmy nad zaczarowane jezioro...

Więc trzeba przypomnieć tych parę podstawowych danych. Jest to największe jezioro na świecie i największe z jezior słodkowodnych Azji. Położony w kotlinie tektonicznej otoczony górami wielkości naszego Giewontu, spadającym stromo w dół. Do Bajkału wpada ponad 300 rzek, wypływa z niego tylko jedna, właśnie Angara.

U ujścia Angary osada Listwianka, po drugiej stronie osada Bajkał. Tu zaczyna się linia kolejowa prowadząca aż do Ulan-Ude w Buriackiej Autonomicznej SRR. Całe południowe wybrzeże Bajkału opasuje ta starenka linia kolejowa. Zanim zbudowano tu kolej, polscy zesłańcy z powstania styczniowego, przebywający w irkuckich więzieniach, budowali tę drogę — dookoła południowego wybrzeża Bajkału.

arsen, rudy żelaza i miedzi (te ostatnie bodaj największe w ZSRR), ołów i złoto... W rejonie Bajkału znajduje się mangan i ropa naftowa, grafit i kamienie szlachetne, sól i aluminium...

Magistrala Bajkalsko-Amurska pobiegnie od Leny aż do wybrzeży Pacyfiku. Na jej trasie powstanie parę wielokilometrowych tuneli, zbuduje się setki mostów i wiaduktów. Budowniczości, a będzie ich parę dziesiątków tysięcy, będą mieli do pokonania kilka wysokich grzbietów górskich oraz ogromne tereny wiecznej zmarzliny, pozbawione dotąd nie tylko dróg, ale nawet ścieżek. Już dziś trasę Bajkalsko-Amurską nazywa się magistralą stulecia i w tym określeniu także nie ma cienia przesady.

Mówiąc o Syberii, nie trzeba się bać przesady. Wszystko tu jest tak gigantyczne, tak niepowtarzalne, tak niecodzienne i nie mieszczące się w ramach wyobrażeń na naszą skalę, że każde „naj” ma tu swoje uzasadnienie.

Robimy na przykład z Irkucka jednodniowy wypad do Bracka. Ot, krótka ekskursja, tak jak się jedzie do Zgierza czy Pabianic. W ciągu niecałej godziny IL-18 wysadza nas na brackim lotnisku, aby wieczorem zawieźć nas z powrotem do ciepłego pokoju w irkuckim hotelu „Syberia”. W ciągu tego dnia robimy 1.000 kilometrów. Odległość jak z Warszawy nad Adriatyk.

Wrócmy jednak nad Bajkał, który kpi sobie z podręcznikowych klasyfikacji. Oto odmiana fokki zwana nerpa. Podobno żyje w morzach arktycznych. Ale Bajkał nie jest morzem, ani tym bardziej arktycznym, a nerpa żyje tu sobie, wprawiając w zdumienie uczonych. Żeby było ciekawiej i bardziej tajemniczo, młode nerpy mają ubarwienie... zielone. Dlaczego? — Nie wiadomo. Uczenni jeszcze tego fenomenu nie rozgryźli.

Nie jedno zdumienie czeka nad Bajkałem. Płynięcie stępczkiem „Babuszkin”, pod nami siedemnaście metrów wody. Nie bójmy się przesady, wody już nie czystej, ale krystalicznie przezroczystej. Wyciągam z kieszeni niklową pięcioczołówkę i odwróciwszy się, rzucam w wodę. Widzę, jak kolując, opada na dno, jak się srebrzy siedemnaście metrów pod mną.

Bajkał jest czarodziejskim jeziorem, nie tylko dlatego, że tak wiele starych buriackich legend opowiada o cudowności Świętego Morza. Baj-

kał jest po prostu czymś w rodzaju żywego skansenu i nic dziwnego, że na stokach wzgórz białą się budynki stacji naukowej Instytutu Limnologicznego Akademii Nauk ZSRR.

W osadzie Listwianka, gdzie kończy się droga zobczem doliny Angary, gdzie zaczyna się sama Angara, w osadzie Listwianka, skąd już nie można pojechać dalej, bo tylko góry i przezroczyste wody jeziora — jeszcze jedno spotkanie z przedziwnym stworem zwanym gołomianką. W muzeum Instytutu oglądam stalowy cylinder, służący do pobierania próbek wody z Bajkału. Pojemnik zgnieciony jak papierowa torebka — ciśnienie wody zmiało stal jak papier. A ryba, zwana gołomianką, żyje sobie w tych głębokich wodach, nie sobie nie robiąc z ciśnienia. Lecz nie to jest osobliwością owej obskurnie wyglądającej rybki. Otóż, kiedy nadchodzi noc, gołomianka wypływa pod powierzchnię wody, przystosowując w jakiś niezwykły sposób swoje wewnętrzne ciśnienie osmotyczne do zmienionych warunków.

Oczywiście znane są na świecie ryby głębinowe, ale one po wyjęciu na powierzchnię — pękają. Gołomianka kpi sobie z praw fizyki. I złowić ją trudno, mimo echosond, radarów i tym podobnych cudów techniki. Az dziw bierze, jakim sposobem złowili ją w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku Benedykt Dybowski, polski lekarz i zoolog, zesłany nad Bajkał za udział w akcji niepodległościowej. Nie zapomniano tu polskiego lekarza, który pierwszy opracował teorię pochodzenia Bajkału i jego fauny, w ogólnych zarysach uznawaną do dziś.

W muzeum Instytutu Limnologicznego, przy dziesiątkach okazów bajkalskiej fauny, widnieją trzy literki „Dyb”. I jest tu jego popiersie i popiersie Czerskiego, i wciąż wymienia się polskie nazwiska badaczy tych stron: Czekanowskiego, Godlewskiego... Polacy zasłużyli się nie tylko w budowie drogi, zasłużyli się także w

Tak rysuje się przyszłość, ale tu, nad Bajkałem, tu w Irkucku nie sposób zapomnieć o historii. Kiedy cała socjalistyczna wspólnota obchodzi święto Rewolucji Październikowej, trzeba przypomnieć, że w Irkucku obowiązuje inna data tej rocznicy. Owszem, w roku 1917 powstała tu władza radziecka i przez bez mała półtora roku mieściła się nawet w Irkucku siedziba Centralnego Komitetu Wykonawczego Rad Syberii. Ale od lipca 1918 wkroczyli do miasta wojska admirała Kołczaka i trzymany Irkuck aż do pierwszych dni roku 1920. I dopiero w marcu tego roku wkroczyły na ulice oddziały Armii Czerwonej. I od tej daty rozpoczyna się rozwój miasta, w którym dziś mamy i przemysł maszynowy i elektryczny, drzewny, dziewiarski, futrzarski, hutę aluminium — no i spożywczy wreszcie, ze znakomitym winem „Krasnoje Kriepkoje”, nie ustępującym markowemu „Egri bikawer”. Sporo miast Kraju Rad widziałem i nigdzie nie trafilem na ten wyjątkowy specjal. Jest to zapewne specjalność lokalna, podobnie jak kinieszmieński pieróg, który zjeść można tylko w małej Kinieszmie na wysokim brzegu Wolgi, czy słynne azu po tatarsku, dostępne tylko w Kazaniu...

Wrócmy jednak nad Bajkał i znów będzie to wędrowka w przeszłość. Jakże nie wspomnieć o słynnym Powstaniu Bajkalskim z 1866 roku. Prof. W. Jewsewicz pisze:

„Echa tych wydarzeń spotykamy w projekcie rewolucjonistów rosyjskich, którzy łącznie z polskimi więźniami politycznymi pracowali nad utworzeniem wspólnego porozumienia zmierzającego w końcowej fazie do wywołania zbrojnego powstania na Syberii. Celem takiego powstania na Syberii w roku 1866 był niewątpliwie zamiar przerzucenia powstania na teren Rosji europejskiej i obale-



Fot. Janusz Kupiecki

nie absolutyzmu. Wynikiem tych działań było powstanie nad Bajkałem.

Niestety, powstanie stłumiono, zbiegłych zesłańców ujęto i w listopadzie 1866 r. odbył się w Irkucku proces, w którym przywódców skazano na śmierć. Benedykt Dybowski razem z Aleksandrem Czekanowskim, Wiktoorem Godlewskim i Alfonsem Parvezem podczas prowadzenia badań w Darasuniu w okręgu Czyty zostali nagle internowani, zakuci w kajdany i pod silnym konwojem odstawieni do Czyty. Dopiero gdy nadeszły upokajające wieści z Irkucka, że powstanie miało charakter lokalny i już zostało stłumione, te ostre zarządzenia oczywiście zostały uchylone...

Powstanie zostało stłumione, nie dożył tego smutnego końca główny organizator ruchu rewolucyjnego na Syberii, Mikołaj Sierno-Solowiewicz. Nie znamy jego programu rewolucyjnego, wszystkie dokumenty i zapiski zniszczył przed śmiercią, ale wydaje się, że celem tej syberyjskiej rewolucji listopadowej straszyla się w obaleniu caratu, przywróceniu niepodległości Polski i wprowadzeniu ustroju demokratycznego w obu krajach.

Marzenia te i cele urzeczywistniła dopiero w pół wieku później Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa.

Jest rok 1974 — nad Bajkałem świeci słońce, metalicznie błyska lustro wody, gdzieś daleko na horyzoncie białą się ośnieżone szczyty Sohoru i Borisanu. Od nabrzeża odbija stateczek „Babuszkin”, udając się w kolejną podróż po Bajkał. Zrywam na pamiątkę gałązkę cedru.



Fot. Janusz Kupiecki

U schyłku tego lata skończyły się z nami prywatne wyprawy. Władcy była to rewizja: w lutym gościł u siebie w Białostoku nasz bliski znajomy, Alie Iwanowne Fiedin, reżysera w jednym z kubańskich Pałaców Kultury. Odbyliśmy z nią podwójną wyprawę do zimowej Puszczy Białostockiej, a także do Warszawy i mojej rodzinnej Łodzi. Alina (bo tak ją po prostu nazywamy) zaprosiła nas do odwiedzenia jej na Kubaniu.

Kubań jest rozległym krajem, ciągnącym się ponad 370 km z północy na południe i podobnie ze wschodu na zachód. To kraina bezbrzeżnych stepów i wysokich gór, wielkich połaci leśnych, żyznych pól i niewyczerpanych skarbow ziem. Kraja licznymi, dobroczynnymi uzdrowisk i atrakcyjnych szlaków turystycznych. Równocześnie jest to region, który przoduje w pozyskiwaniu gazu ziemnego, w produkcji cukru i konserw, w hodowli roślin olejnych i winorośli. Prawie połowa winnej wytwórczości w Związku Radzieckim odbywa się właśnie na Kubaniu.

1.

Ładujemy na lotnisku w Krasnodarze, stolicy Kubania. Pierwsze wrażenie: oślepiająca jasność, mimo, że słońce chyli się już ku zachodowi. W jego jarzącym świetle port lotniczy, okoliczne drzewa i kwietniki — nabierają intensywnych barw.

Po wyjściu z lotniska wpadamy zaraz w otwarte ramiona Aliny i jej męża. Alina, szczerą rosyjską duszą, wita się z nami wylewnie, jej matka, Wołodia, czyni to jak przystało na mężczyznę, a przy tym lotnika — bardziej wstrzemięźliwie.

Po chwili mkniemy już autostradą w stronę miasta. Z oddali wylanają się wysokie gmachy Krasnodaru, kiedy jednak wjeżdżamy w jego ulice, ta wyniosłość budowli jakby maleje: to zastęga całych szpalerów lip, jesionów, kasztanów, topoli i innych nieznanych nam drzew.

Teraz przed nami rozległe pola, ciągnące się całymi kilometrami planacji słoneczników i kukurydzy. Ziemia wyschnięta, spękana, o żółtawej barwie — przypomina skorupę żółwia. Doganiamy ciężarówkę wyładowaną po brzegi pomidorami — tak u nas wozą się ziemniaki. Na chwilę zanurzamy się w gęsty kurz.

— Płyną buria — żartuje Wołodia. I dodaje, że zdarzają się tu często nieco gorsze burze pyłowe: wtedy niesiony ze stepów pył pokrywa grubą warstwą wszystko: drzewa, domy, ludzi. Te ciągnące się wzdłuż szosy pałaski — wąskie pasma drzew — to właśnie ochrona przed wiatrami i pyłowymi burzami.

Wjeżdżamy do stolicy, miejsca zamieszkania naszych gospodarzy. Zatrzymujemy się przed ich domem. Alina tylko na chwilę aby powitać nas w swym mieszkaniu: dziś właśnie odbywa się w Pałacu Kultury uroczyste zakończenie „chlebowych żniwi” i nasza gospodyni nadzoruje część artystyczną. Oczywiście, zaprasza nas na te występy.

— Czy wiesz, kiedy Kozak płacze? — pyta nas znielica. — Wtedy, gdy żona każe mu gotować i opozdzać dom.

Ala to był tylko żart. Zdarzało się że Alina wjeżdżała za prowiantami, a wtedy Wołodia gotował, sprzątał — i wcale nie płakał. Był mocno zażenowany, gdy pochwalił się, zresztą całkiem szczerze, przrzędzony przez niego pikantny kubański barszcz.

2.

Sala widowiskowa miejscowego Pałacu Kultury obliczona jest na 750 miejsc. Gdy siadamy w końcowym rzędzie krzesel, żeńska orkiestra (to tutejsza osobliwość) wykonuje ostatni tuz dla żniwnych przodowników. Teraz rozpoczyna się występ zespołu regionalnego, przy akompaniowaniu zwawej harmoski. Potem śpiewa wdzięczny dziecięcy chór, produkuje się w skecach amatorski zespół teatralny, występują recytatorzy i piosenkarze.

Jest późny wieczór gdy przenosimy się na taras. Tutaj gra młodzieżowa orkiestra i odbywają się tańce. Nie różnią się one od naszych tańców młodzieżowych. Ale nagie orkiestra gra kozaka i dzieje się rzecz przedziwna: na parkiet wyskakuje chłopak w białej rozpiętej koszuli, za nim zaraz drugi. Stają naprzeciw siebie. Postępują zrazu wolno, potem coraz szybciej — cały czas w gwałtownych, rytmicznych zrywach. Widać, że mają ten taniec we krwi, z ostatnim jego taktem zatrzymują się obaj jak wryci. Wszyscy bijemy brawa.

Siedzimy przy lampce wina i słuchamy opowieści Aliny o jej pracy — w Pałacu Kultury. Alina jest podkorytowana, nie ma się czemu dziwić, wprowadził program dawno już się zakończył, ale napięcie tak łatwo nie ustępuje.

Alina stara się mówić po polsku i całkiem jej to nieźle wychodzi. W bibliotece Ally Iwanowny odkryłem później zbiór dzieł Sienkiewicza, osobne wydanie „Pana Tadeusza”, książki Orzeszkowej, a nawet kilka tomików współczesnych polskich poetów. Przykro o tym mówić, ale nie każdy nasz dom może się pochwalić taką biblioteką.

3.

Idziemy z Wołodią nad rzekę, niesłyszalne wędki. Wołodia zwykł każdą wodną szwile spędzać, jak mówi, na rybak. Mijają nas mężczyźni, niewysocy, przy-

sadzicieli, wszyscy w białych koszulach, kobiety w białych bluzkach, w białych chusteczkach na głowach, ta biel ma chronić przed upalnym słońcem Kubania. Słońce — ognista kula w pomarańczowym płeciu nieba. Idziemy skrajem chodnika, w cieniu drzew, które mają strąki jak fasola i liście wielkie jak liście topianu.

— To ślady przeszłości — odpowiada Wołodia. — Rzeka też nazywała się kiedy Kara-sun, co po turecku oznacza: Czarna Rzeka. Siedzimy z Wołodią na łódce pod trzelnami, zarzuciliśmy wędki. Dochodzi południe, skwar, ryby ani myśla interesować się przynętą. Jedna wprawdzie, niebrzydki okaz, śmiętnęła nie opodal łukiem nad wodą, ale tylko po to, żeby pokazać nam swoje różowe podbrzusze.

TADEUSZ GIGGIER

SŁONECZNY KUBAŃ

— Ech, na kubańskie by morze, na jeślotry — rozmarza się Wołodia. — Chyba lecicieście nad morzem kubańskim? —

— Lecicieście, ale jego skrajem. — Ono nie jest jeszcze zakończone. No, hodowla jeślotry to tylko taki dodatek, właściwie idzie tam głównie o nawodnienie wodnospójne dębki, niemu rzeka Kubań ma na będzie się przedostawać na Morze Czarne i Morze Azowskie. A w hodowlę rzyżu dościsnęli, być może, Japonie.

— A ty też się zajmujesz ryżem? —

— Zajmuje się, a także. Rozpływamy nad plantacjami rzyżu nawozy sztuczne. Robimy to w zimie.

— W zimie? — No, nie jest to wazna polska zima. U nas śniegu prawie nie uświadcysz, zima padają deszcze i wleją wiatry. Ale to nawozom nie szkodzi.

— A czym zajmujesz się wiosną? — Wiosną też rozrywamy środki chemiczne, ale przeważnie nad lasami, dla wytepienia szkodników. A z nastaniem lata roboty huk: ziemniaki, buraki, sady owocowe, plantacje winorośli, plantacje tytoniu — wszystko to potrzebuje naszej pomocy.

— Ale czasem pomagacie chyba i ludziom? — Kiedy trzeba, pomagamy. Lecimy z pomocą lekarską, przewożymy ciężko chorych do szpitala. Ale to nie wszystko. Gdy

Na dźwięk polskiej mowy, obcy ludzie nawiązywali z nami pogawędki na temat polskich filmów, telewizyjnego serialu „Cztery pancerni i pies”, bardzo popularnego w Związku Radzieckim, a także — tegorocznych Mistrzostw Świata w pilce nożnej i doskonałej postawy polskiej drużyny piłkarskiej.

Aleksiej Stefanowicz Kakurin, sekretarz partii w nowowielickowskim kolchozie, zna dobrze Polskę i — Białostoczczyznę, którą przemierzył w roku 1944 jako oficer Armii Czerwonej. Pamięta też kilkunadne stacjonowanie jego wojskowej jednostki w Łodzi.

Jedziemy z towarzyszem Kakurinem na zwiedzenie kolchozu. Jedziemy środkiem stolicy, i przy tej okazji dowiadujemy się, że okazały Pałac Kultury, w którym pracuje Alina, to inwestycja kolchozowa. Kolchoz wybudował także szkołę podstawową i muzyczną, pięć przedszkoli, halę sportową, szpital, pocztę, dom usług.

Skreślamy w boczną drogę. Wzdłuż niej całe sterty suszonych się na słońcu ziemnych kostek, przypominających kostki torfu, jednak znacznie od nich większych. Dowiadujemy się, że są to cegły wytwarzane z gliny i słomy, a zwane „saman” — od słów: „sam mazal”. Z tych właśnie cegiel buduje się tu do dziś wewnętrzne ściany domów.

To produkcja indywidualna. A co produkuje kolchoz? Jego powierzchnia obejmuje 6 tysięcy hektarów, z czego blisko połowa przeznaczona jest pod uprawę pszenicy i jęczmienia, a jedna czwarta pod buraki cukrowe i kukurydzę. Warzywa: pomidory, ogórki, zielony groszek, papryka — zajmują 300 ha, słonecznik — 120 ha, sad owocowy — 170 ha, winograd — 60 ha. Do tego dochodzą uprawy arbużów i melonów.

Ziemia tu urodzajna, przeważa czarnoziem, plony są bardzo wysokie, zbiór pszenicy i jęczmienia dwukrotnie większy niż w innych regionach Związku Radzieckiego. Kolchoz osiąga dochód 6 milionów rubli rocznie.

— Mamy 2400 pracowników — mówi tow. Kakurin. — Ale to wszystko mało, teraz szczyt roboty, jedźmy po ludzi nawet do Krasnodaru. W tym roku duży urodzaj, a u nas ciepły klimat, wszystko szybko dojrzewa i trzeba spieszyć się ze zbiorami.

Przy budynku brigady sadowniczej rosną cieniste drzewa, pod nimi długie stoly, właśnie skończył się obiad i korzystając jeszcze z chwili czasu mężczyźni grają w warcaby. Dalej pole kukurydzy, na które wyruszają właśnie olbrzymie kombajny. Droga jest wyboista, co rusz wynosi nas pod sklepienie samochodu.

— Za dużo takich dróg, jeszcze sobie z nimi nie poradziłem — powiada tow. Kakurin.

W polu drewniana szopą, właśnie wychodzi z niej paru ludzi na zbiór arbużów. Pochylają się, pakują zgętnym palcem w gładką powierzchnię kawonu. Gdy kawon dzwoni to znak, że jeszcze młody, niedojrzały. Sposobny do zerwania wydaje głuchy, drewniany dźwięk.

4.

Wracamy do domu, wioząc w bagażniku „kolchozowe dary”: arbuzy, melony, dorodne jabłka, gruski, renkiody. Wieczorem, po upalnym dniu, kąpiel w rzecce. Woda ciepła, powietrze jak aksamit. Stojmy z Wołodią na brzegu i śmimy paplery. Po drugiej stronie rzeki, od stolicy, niesie się głos harmoski i słychać z wozące śpiewy.

— Eto swadzba — informuje mnie Wołodia. — Tak już trzeci dzień. Bo mu-

KOROSPENDENCJA z ZSRR
KUBAŃ

dego. Z muzyką, a pieśniami wszyscy jada do domu „żenicha”, gdzie odbywa się wesela. Na dworze stoją zastawione stoly, po ich srodku wielki wieńiec z kwiatów, za którym siada młoda para. Obok związane dwie butelki — to „byki”, których piństwo „pastuch”. Gdy ktoś je wykradnie, goście muszą butelki „odkupić”, a datki idą na rzecz nowożeńców. Pod koniec pierwszego dnia rozbiiera się wieńiec z kwiatów: każdy z gości weselnym przypina sobie kwiat i tak z nim paraduje. Kto opisał wesela i potem wraca, ten także musi dać „okup” dla młodych.

Drugiego dnia dzień maskarady, wszyscy się przebierają, wychodzą na ulicę stolicy, tańca i śpiewają. Na trzeci dzień każdy z gości musi przynieść kure lub koguta, drobi idzie do wielkiego kotła i sam się gotuje, a najsmaczniejsze kaszki dostają się rodzicom panna młodego. Potem wazda się ich na dwukolowy wózek i wiezie wśród ogólnej wesołości. Ojciec z matką bogatą rózami ciągnących, a ci znow próbują wywrócić wózek lub wepchnąć do rzeki.

— To nasze miejscowe obyczaje — mówi Wołodia — ale w sąsiedniej Adygei, okręgu autonomicznym, przez który będziemy jutro przejeżdżać w drodze nad morze — wesela odbywa się według jeszcze starszego porządku. Tam obowiązują do tyteczas zwyczaje, że narzeczony musi wykreść z domu narzeczoną i wywieźć ją kradź z domu narzeczonej i wywieźć ją kradź z domu „w nieznane”. Oczywiście dzieje się tu już dziś za wiedzą wszystkich zainteresowanych stron, które jednak stwarzają pozory, że niczego się nie domśiają.

5.

Nasi gospodarze załatwili w krasnodarskiej dyspozytorni taksówkę do Gelendzyka. Było trochę dyskusji, bo to odległość ponad 200 km, ale kiedy dyspozytorka dowiedziała się, że to dla gości z Polski — kwestie zaraz ustąpiły.

Jedziemy teraz ulicami Krasnodaru. Taksówkarz wszedł z miejsca w rolę przewodnika i co ruz oznajmia: to nasz teatr, to filharmonia, to instytut naukowy, to nasza biblioteka. Alina dodaje, że w tej właśnie bibliotece odbywają się spotkania z krasnodarskimi pisarzami; w Krasnodarskim Kraju mieszka 42 członków Związku Pisarzy Radzieckich.

Krasnodar to miasto bulwarów, kwiatów i zieleni. Tu po raz pierwszy podziwiamy wspaniałe okazy platanów, o popielatych pniach pozbawionych korw. Bezcukowy dalekim wodnym strumieniem podlewa drzewa w parku. Na przedmieściu wielki kombinat włókienniczy, jeden z największych i najnowocześniejszych w Kraju Rad. Przejeżdżamy most na rzecę Kubań — dalej już Adygeja, o której mówił Wołodia. Mijamy rafinerię ropy „naftowej”, plantacje tytoniu i tureckiej pszenicy-kukurydzy. Zatrzymujemy się na chwilę przed pomnikiem Tamańskiej Czerwonej Armii, gdzie podjechało właśnie kilka samochodów przybranych kolorowymi wstążkami. To też jeden z miejscowych zwyczajów: składanie przez nowożeńców kwiatów pod Pomnikiem Wdzięczności.

— W roku 1918 — mówi Wołodia — gdy armia Denikina zajęła Jekatierinodar, bo tak nazywała się wówczas stolica Kubania, stacjonujące tu wojska Armii Czerwonej zostały zmuszone do wycofania się na Armawir. Tamańskiej grupie tych wojsk, złożonej z miejscowych kozaków, odwrót ten został odepity. 25 tysięcy ludzi, nie tylko żołnierzy, ale

czący 500 km wojenny marsz Armii Tamańskiej posłużył za osnowę powieści Serafimowicza „Żelazny potok”.

Ruszamy dalej obserwując zmieniający się krajobraz. Przed nami wyrasta las sztybów naftowych. Tytoń i kukurydza ustępują teraz miejsca plantacjom winorośli. Pojawiają się pierwsze — zielone wzgórza, z przyłepionymi do nich niewielkimi niebieskimi domkami. W wyobraźni przedstawiam sobie ten widok wieczorem, gdy w oknach domków zapłona światła. Powietrze nabiera świeżości i aromatu — jesteśmy już na przedpolu Kaukazu.

A oto i pierwsze nagie góry, zbudowane z brunatnych pirytołów, różowych kalcytów, złotych syderytów, szarego margla i czerwonej ochry. Ten skalny przekładaniec to prawdziwa uciecha dla oka. Jeszcze jeden zakręt wśród gór i nagle odsłania się przed nami morze: zielone jak małachit Morze Czarne. Mijamy Anapę, najbardziej słoneczne kąpielisko czarnomorskiego półwyspu Kaukazu. I wreszcie Noworosyjsk: wysoka brama wjazdowa z napisem oznajmiającym przybyszom, że jest to miasto-bohater, oznaczone orderem Wojny Ojczyźnianej I klasy.

Te waleczne tradycje Noworosyjska sięgają zresztą znacznie głębiej w historię. Wkrótce po wybuchu Rewolucji Październikowej w tym portowym mieście ustanowiona została władza radziecka. Marynarze czarnomorskiej floty, wypełniając rozkaz Lenina, zatopili tu swoje okręty, aby te nie dostały się w ręce niemieckich interwentów. W roku 1942, gdy wojska hitlerowskie opanowały wybrzeże Morza Czarnego, 6 dywizji niemieckich wspieranych przez silne jednostki lotnicze rozpoczęło szturmowanie miasta. Heroiczna obrona Noworosyjska trwała 360 dni — miasto zostało obrócone w perzynę, lecz bohatersko odparło ataki wroga. Odbudowane po wojnie z ruin, jest dziś jednym z ważniejszych portów radzieckich, do którego zająwiają statki z ponad pięćdziesięciu krajów.

Po drugiej stronie zatoki noworosyjskiej — skalisty brzeg tzw. Małej Ziemi. Mała Ziemia zapisała się także w historii ostatniej wojny. To właśnie z Gelendzyka, do którego zmierzamy, wyruszył w lotową noc 1943 roku morski desant na Małą Ziemie dowodzony przez majora Kunikowa. Major Kunikow poległ, ale przyczółek został utrzymany.

Droga wije się serpentynami, morze to ukazuje się, to znika. Jeszcze letniskowa miejscowość o wdzięcznym imieniu Kabardinka — i oto przed nami Gelendzyk, cel naszej podróży.

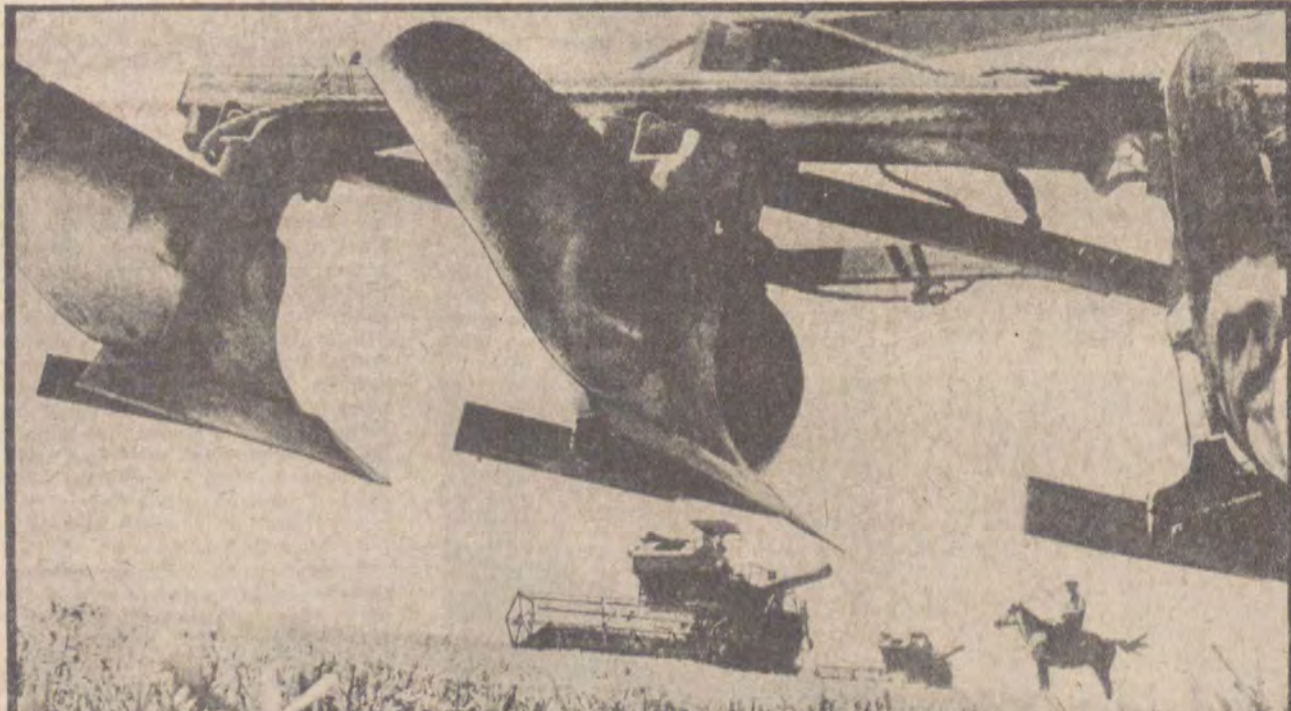
Nazwa miejscowości, położonej nad malowniczą zatoką otoczoną wzgórzami, jest pochodzenia tureckiego. Gelendzyk znaczy po turecku „oblubienica”, „panna młoda”. W wieku XV handlowa podówczas osada była we władaniu Turków — wywożono stąd młode dziewczęta do tureckich haremsów.

Dzisiaj Gelendzyk to nowoczesne uzdrowisko i miejscowość letniskowa, do której ciągną wczasowicze z wielu, przeważnie północnych, rejonów Związku Radzieckiego. Właśnie tutaj, wśród nadmorskich uliczek ocienionych rozłożystymi platanami i różową akacją o drobnych liściach i puszystych kwiatkach, w małym, białym domku pani Natalii, pod sklepieniem z winogrodu — mieliśmy spędzić dziesięć beztróskich, sierpniowych dni.

Z Gelendzyka odbyliśmy dwie morskie wyprawy: do Dżankotu, niedużego uzdrowiska rozciągniętego w górskiej kotlinie. Z miejscowością tą związane jest nazwisko znanego rosyjskiego pisarza, Władimira Korolenki, autora noweli i szkiców takich jak: „Opowiadania syberyjskie”, „Szum lasu”, „Ślepy grajek”, „Zie towarzystwo”, a także pięciotomowej autobiografii pt.: „Historia moich współczesnych”. Wiele jego książek tłumaczono w swoim czasie na język polski. Zwidzieliśmy pięciotną willę z kamienia i drzewa, zbudowaną w roku 1902 według projektu pisarza i zawieszoną na wierzchu nad zieloną przepaścią. Willa ta jest dziś przeczyszczalona w muzeum poświęcone życiu i twórczości Korolenki. Poznaliśmy więc jego dramatyczną biografie, lata zesłania i więzień okres jakucki, okres petersburski, daty pobytu pisarza w Ozankocze. Na dłuższą zatrzymałem się przy fotokopii pierwszej książki, którą Korolenko przeczytał mając lat pięć: była to polska książka „Tomek Sandomierzak”, powieść napisana przez Jana Kantego Gregorowicza, a wydana w Petersburgu w roku 1888.

Druga wyprawa, zawiadła nas do Soczi, dokąd przyjechał i skąd odjechał my wodolotem, unosząc pod powiekami obraz świetlistego morza, białych budowli, pierzastych palm, kwitnących różową magnolią i strzelistych cyprysów.

A potem powróć do Krasnodaru. Żegnając się z Aliną i Wołodią na lotnisku, zaprosiliśmy ich na przyszłe lato do nas. Alina chce zobaczyć koniecznie Kraków, Wołodia — wyruszyć na „rybałkę” na pojezierze suwalsko-augustowskie. Oboje napomknęli też o chęci poznania naszego Bałtyku. Wygląda na to, że przejeździemy z nimi całą Polskę.



Fot. Archiwum

pali się las, zrucamy tam desant strażacki, a kiedy panoszą się dziki, wiezie-my myśliwych. Dzikie siedzą często w niedostępnych bagnach, nocą wyruszają na plantacje i robią tam wielkie spustoszenie. Robią bezkarnie, oczywiście do czasu. Polowanie z helikoptera to często odstraża 40-50 sztuk dziennie. Pewnie się zdziwisz, ale i wy macie w tym swoją zasługę.

— Jakąż to zasługę? — To bardzo proste. Latamy przeważnie na samolotach AN 2, na helikopterach MI 2. Licencja nasza, ale te samoloty i helikoptery produkowane są w Polsce.

starsz wiedzied, że u nas wesela trwa obowiązkowo trzy dni, a każdy dzień ma przypisane sobie zwyczaje. Zaczyna się to wszystko od tego, że pan młody, o zdobiony białym kwiatem, idzie do rodziców panny młodej wraz ze swym przyjacielem, który jest przepasany ręcznikiem. Pytają, czy tu mieszka taka a taka, bo chcą zobaczyć towar. Wtedy matka panny młodej powiada do nich: a jaki jest wasz towar? Przyjacieli zachwala panna młodego, a znow matka swoja latorość. Wreszcie dosądają się, przepijając do siebie. Cały orszak rusza do urzędu, a potem znow do domu panny młodej, skąd wyciąga się jej rzeczy i przewozi do panna młodego.

Ich rodzin, kobiet i dzieci, podążyło w stronę Noworosyjska, najpierw pod obstrzałem białogwardystów, a potem, dodatkowo — niemieckiej i tureckiej morskiej artylerii. Tamańczycy, rozbici i zdziśiatkowani, pozabawieni prawie amunicji, zdobyli się jednak na wielki wysiłek i opanowali jednak na wielki wysiłek i opanowali Tuapse, port nad Morzem Czarnym, a potem przelamali okrazenie i polaczyli się z głównymi siłami Armii Radzieckiej. Ten legendarny, li-

FELIKS RAJCZAK

MATKA ARMENIA PATRZĄCA NA EREWAŃ

Erewań jest jednym z najstarszych miast świata, założony został w 782 roku przed naszą erą przez uratskiego cara Argishti I. Miasto przechodziło różne koleje losu było grabione i niszczone przez najeźdźców. W r. 1828 w wyniku wojny rosyjsko-perskiej wschodnia Armenia weszła w skład imperium rosyjskiego. Erewań stał się gubernialnym centrum. Gdy ustanowiona została władza radziecka w Armenii, Erewań przekształcił się w stolicę Armieńskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Erewań leży na północno-wschodnim krańcu równiny Ararańskiej. Jest jednym z ważnych ośrodków życia gospodarczego i kulturalnego Kraju Rad. Według najnowszej statystyki liczy około 750 tysięcy mieszkańców. W stolicy republiki skoncentrowane są zakłady syntetycznego kauczuku, transformatorów, lamp elektrycznych, kompresorów, kabli, zegarów, konserw, win, koniaków itp.

Stolica Armenii jest siedzibą wielu wyższych i średnich placówek oświatowych, zasilających kadrami specjalistów różne dziedziny gospodarki i kultury republiki. Wysoko cenione są Uniwersytet Erewański oraz Instytuty: Politechniczny im K. Marksa, Pedagogiczny im. Ch. Aboviana, Medyczny, Rolniczy, a także Konserwatorium im. O. Komitasa.

Od placu Lenina prowadzi szeroka ulica Aboviana, u której zakończenia, na wzgórzu, stoi biały pomnik Matki Armenii, patrzącej na Erewań. Miasto jest wielkim ośrodkiem budowy. Widać to dobrze, gdy się patrzy właśnie ze wzgórza, na którym stoi ów pomnik. Na całym obszarze miasta, tu i tam, ustawione dźwigi budowlane — gdy przejeżdża się ulicami Erewanu są niemal niewidoczne. Stolica Armenii sprawia wrażenie miasta jakby skończonego architektonicznie. Okazuje się jednak, że jest tu wiele do roboty. W każde wzgórze, w każdy jar lub wąwóz tutejsi urbanisci starają się wkomponować piękne obiekty — ot, chociażby stadion „Razdan” (nad rzeką Razdan), na którym świetne mecze rozgrywa znakomita drużyna piłkarska Ararat, czy też 15-piętrowy pałac młodzieży w kształcie walca, który według pierwotnych założeń miał się cały obracać wokół swej osi.

Plac Lenina jest sercem Armenii. Otaczają go monumentalne budowle — siedziba Rady Ministrów ASRR, poczta główna, hotel „Armenia” — i kolorowe fontanny, fontanny. Bije z nich orzeźwiająca i najczystsza woda,

jaką piliem, płynącą tu ze źródeł górskich. Tutaj, w tej scenerii, w 1940 roku, w dwudziestolecie ogłoszenia władzy radzieckiej w Armenii wzniesiono pomnik Włodzimierzowi Leninowi.

Miałem możliwość oglądać nowoczesny budynek Teatru Dramatycznego im. G. Sundukiana, pałac Akademii Nauk ASRR, Teatr Opery i Baletu — i w jego pobliżu pomnik narodowego architekta Aleksandra Tumaniana, który zapoczątkował nowy styl w architekturze armeńskiej. Jest to styl

żyjącego w średniowieczu uczonego Ananija Szrakaca. Mają tu swoje miejsce twórcy nowej literatury armeńskiej: Chaczatur Abovian, poeta-pieśniarz Sajat-Nowy, Owanes Tumanian, Awietik Isaakian, Egisz Czaren i inni.

Erewań posiada dwie potężne biblioteki — republikańską im. A. Miasniakiana oraz miejską im. A. Isaakiana. A ponadto siedem pałaców i domów kultury!

Armenia przyjęła chrześcijaństwo w 301 r. Jej centrum kulturalnym stał



niewyparzalny, wyrażający to wszystko, co przez wieki stworzył armeński naród budowniczy.

W drugiej połowie VII wieku Arabowie najechali Armenię — nastąpił zastój w jej życiu kulturalnym. Na przestrzeni IX—XIV w. armeńska architektura rozkwitała na nowo osiągając wspaniałe formy. Stolicą Armenii jest wówczas miasto Ani. Budowano jak i obecnie z różnokolorowego kamienia pochodzącego z wulkanicznego. Pomnikami dawnej architektury Armenii są zabytkowe budowle. Odkryto tu cztery tysiące historycznych pamiattek architektonicznych, pochodzących z różnych epok.

Innym zabytkiem — pisanym — jest literatura. Od 406 r. Armenia szczyli się własnym oryginalnym alfabetem. Twórcą ormiańskiego alfabetu Mesrop Masztoce spoczął w cerkwi w Oszkanie. Na wzgórzu tana-kierskim w Erewanu podźwignięto trudem całego narodu bazylikę gmach — Matenadaran — muzeum rękopisów, noszące imię twórcy ormiańskiego alfabetu. W Matenadaranie im. Mesropa Masztoce „gromadzono, począwszy od V wieku, 25 tysięcy rękopisów dotyczących historii, filozofii, literatury, medycyny, astronomii. (Miejsce inne słynny rękopis „Czasość” z 1276 r.). Tutaj też znajdują się rzeźby wyobrażające Mesropa Masztoca i

się wówczas Eczmiadzin, w którym zbudowano katedralny sobór. Tu żyje głowa kościoła ormiańskiego — katolikos. Jest nim obecnie Kumun, znający kilkanaście języków europejskich, arabski i inne.

W pobliżu Eczmiadzina leży Zwartnec, dawna letnia rezydencja katolikosów. Jest tu muzeum i ruiny zakreślające fundamenty byłej warowni. W drodze powrotnej z Eczmiadzina zatrzymujemy się na chwilę opodul zabytkowego mostu z kamienia na rzece Razdan, z r. 1679, przez który widać stara eczmiadzinska szosa wychodząca ze stolicy kraju. Na lewym brzegu Morza Erewańskiego (rozlewisko rzeki Razdan) — widzimy z daleka — usytuowane są wykopaliska archeologiczne.

Naród Armenii stworzył wielką kulturę. Mamy dla niej wysoki podziw. Armeńczycy darzą szczególnym szacunkiem swych twórców kultury: pisarzy, malarzy, kompozytorów. Dają temu wyraz w życiu codziennym — w domu, w szkole, na ulicy. Wiele ulic erewańskich oosi imiona ludzi sztuki. Wzniesiono im liczne pomniki.

Serdaczną pamięcią i czcią otaczają erewańscy rewolucjonistów i bohaterów narodowych. W różnych punktach miasta piętrzą się pomniki jak na przykład Włodzimierza Lenina i jego armeńskiego współpracownika, rewolucjonisty Stefana Szaumiana, czy też przyjaciela Herrena, rewolucyjnego demokraty Mikołaja Nalbandiana

oraz bohaterów ZSRR z ostatniej wojny — Nelsona Stepaniana i Unana Awietisiana.

Przed centralnym dworcem kolejowym Erewanu pomnik Dawida Sasunskiego z obnażonym mieczem, na koniu wspinającym się jakby nad przepaścią pola bitwy...

Pod Sardarabadem w r. 1918 Armeńczycy odnieśli zwycięstwo nad interwencyjnymi wojskami tureckimi — wydarzenie to upamiętnia monumentalny obelisk. Lecz nim przyszło to zwycięstwo, krew ich gęstymi strumie-

stalczna woda. Gasimy pragnienie. Mówię do starego Ormianina:

— Dobra tu woda.

— I ludzie dobrzy — odpowiada. Jeszcze góry i zakola, doliny orodziejne — i wreszcie stajemy przed skalistą ścianą, którą opływa rzeka Azak. Jesteśmy w Gegardzie. Pierwsze o nim wiadomości pochodzą z IV wieku. Arabowie napadli na tutejszy klasztor mordując w nim wszystkich mnichów. Z tamtego czasu pochodzi kaplica znajdująca się na polu w jaskini. Gegard jako architektoniczny kompleks zabytkowy powstał w XIII wieku. Na dziedzińcu klasztoru zegar słoneczny i opodal rozłożone chacz-kary, bryły kamienne z wykutymi na scenami z życia Boga i człowieka oraz ornamentami roślinnymi granatów i winogron.

Na drugim brzegu rzeki Azak, za klasztorem, tuż obok skalistej ściany góry, która zamyka wszystkie tu schodzące się drogi, trupa Ormian uczuje: na drzewie obok wisi skóra barania. W rzece Azak żyje ryba karirachal, ponoć jedna z najsmaczniejszych ryb na naszej planecie.

Tą samą drogą owracamy do Erewanu. Górą idą słupy wysokiego napięcia, z gór schodzą rury oświadczone w doliny, do miast i wsi armeńskich. Za wsią Garni, w dojrzałym sadzie chłop śpi pod jabłonią, nakryty czapką na oczy. Odpoczywa pod jasnym błękitem nieba, wśród rodzinnych gór.

Nowoczesną autostradą jechaliśmy nad jezioro Sewan. Najpierw był defekt autokaru, więc zesliśmy z drogi do młodej winnicy, którą nawadniał w upalny czas starszy wiekiem ogrodnik kolchozowy. Wspomniał nam swój pobyt na ziemi polskiej, gdzie zaprowadził go wojenny szlak. Po paru godzinach roztoczyły się przed nami lazurowe wody Sewanu, jeziora wysokogórskiego położonego 2 tys. metrów nad poziomem morza. Nad brzegami jeziora, rozsnutego różnokolorowymi pasmami wód między łańcuchami gór, stoją pawilony, domy wypoczynkowe, zbudowane przystałe. Wystarczyły dwie godziny pobytu na plaży, przepłatanego kąpielą w Sewanie, by słońce i wiatr, jakże wówczas pogodne i ciche, zastawiły na nas swój życiodajny ślad.

Po drugiej stronie jeziora, na wysokim półwyspie, stoi „sewański monasty” — cerkiew, którą zbudowała w 874 roku księżniczka Mariam Bagratni. Patrująca tej zabytkowej cerkwi św. Arakeloc i św. Karapet. Nie opodal tej sakralnej budowli, w nowoczesnym stylu wzniesiono obiekt — dom pracy twórczej armeńskich pisarzy.

Kiedy powracaliśmy z Sewanu, na malachitowym nieboskłoniu wynurzył się — jak z potopu światła — Ararat, biblijna góra w białej szacie, leżąca na terytorium Turcji. Dla naszych oczu był to powiew pomnożonego życia, piękna chwila zdumienia.

W dniu następnym, po zwiedzeniu Eczmiadzina, jego zabytków i skarba, opuściliśmy Armenię. Stąd moja droga wiodła do Gruzji. Była to droga kolei żelaznej, przebiegająca wiele kilometrów wzdłuż granicy radziecko-tureckiej. Gdy potem zakreśliła w góry kaukaskie, zasnąłem, zmęczony mnóstwem wrażeń. Zbudzono mnie o świcie na przedpolach Tbilisi.

KORRESPONDENCJA Z ZSRR ARMENIA

24. IV. 1915 roku Turcy rozpoczęli masakrę Ormian. Tę masową śmierć cór i synów Armenii przypomina wciąż półtora miliona zasadzonych wierz — a każde to drzewo płaczące serce. Ku ich czci wzniesiono na jednym z płaskowyżów Erewanu kompleks pomników, oświetlony nocą. Ku niemu widać aleja żałobna. Doprowadza ona do wysokiego 40-metrowego ostrołupa obelisku i mauzoleum, w którym płonie ogień i gra muzyka elegijna. Mauzoleum zbudowane jest z dwunastu obelisków pochylonych nad płomieniem — jest to znak, że naród Armenii żyje i będzie żył.

Z mojej erewańskiej eskapady zapamiętałem jeszcze obelisk „Waagn”, stojący u północnych wrót Erewanu, a także rzeźbę „Ręce” — od łokcia wystające ręce z tafli wody — umiejscowioną nad jeziorem Labędzim.

Trzy razy wyjeżdżałem poza miasto stołeczne Armenii. Po raz pierwszy do Gegardu — i to była wyprawa, która zapadła we mnie najgłębiej; jechałem przez armeńskie góry jakby do źródła wieczności. Droga, u której końca stoi wykuta w skale świątynia, wita się przez wzgórze porośnięte żółtą, niską i rzadką trawą. Między kilka wsi. W jednej, największej, zatrzymujemy się, otacza nas grupa jej mieszkańców, wszyscy prawie męskiego rodu. Stoją w cieniu drzew, u studni, z której wybijają kry-

BULAT OKUDZAWA

PREJAZDZIA DOROŻKA PRZEZ WIECZORNĄ WARSZAWĘ

Warszawo, wierz mi, kocham cię smutno i tkliwie, po wiek wieków. Chociaż w zbrojowni słów z pewnością precyzyjniejsze słowa mam, to święty miesiąc, ten, co tam, po lewej stronie tkwi w człowieku, tak tęskni, tak o żebra tłucze... I co z nim począć — nie wiem sam. Trzęsie dorożka. Spływa zmierzch. Stygna w Warszawie ślady po dniu. To miasto pełne jest młodości, zwarzone skwarą technieniem mak. Jak ta gałązka którą dziś z alejki łaźniakowskiej podniosł, jak ten niezręczny ukłon Wazy, jak tej dziewczyny drżenie rąk. Oficer w rogatywce śpi, już żywa dusza nie pamięta, bo obca go omywa rzeka, obcych mu borów szumi liść. Nie minie wiek, nie minie rok — napiszą chłopcy i dziewczęta w zeszytach to, co nam przez gardło ściśnięte przejść nie może dziś. Jest to nieznośne niczym raj — w sicie przesiewać dobra odsiew, miłość precedzać przez nieufność, cedić przez zęby skapstwo słów... Strofuję mój niestały los: „Szczeroci naucz się, mój losie, nadziejo, nie traćże nadziei i zbudź się, zaufanie, znów!” Dalejże, dorożkarzu, w cwał, już czas latarnie pozapalać. Nieprawda, żeśmy już przeżyli ten najważniejszy w życiu dzień! Warszawo, chłopcy z ulic twych wicherzą czupryny jak z żurnala, lecz widzę zmarszczki na ich czołach, zadumy niespodzianej cień! Trzęsie dorożka. Spływa zmierzch. Krakowskim ku Staremu Miastu jadę, zstępuję w mrok kawiarni, gdzie dziwna pani śpiewa wiersz, gdzie kwitnie znów Czerwony Mak jak innej już miłości zwiastun... Powoli jadę przez Krakowskie. Trzęsie dorożka. Spływa zmierzch.

POŻEGNANIE POLSKI

Agnieszka Osieckiej

Pospólny los, Polacy, nas z dawien dawna zbrałał na dole i niedole, na dobro i na zło... Gdy trębacz nad Krakowem znów w hejnał stromym wzładał, z nadzieją strzygę uchem i szablą szuka dłoń. Tak ładnie wyglądamy w strzępiących się ubrankach — jak lament Jarosławny jest płacz siostr naszych: „Idź!” —

gdy siedemnastoletni, grający na organkach, jak zawsze wyruszamy, by się za wolność bić. Cóż wolność? Wybrać pociąg i mieć w pogardzie konie? Cóż wolność? Tłuc szklenice? W noc śpiewać, we dnie — spać?...

Natura już w kolebce odjęła nam ironię... Lecz jest prawdziwa wolność. Spróbujmy przy niej trwać. Kto jeszcze pójdzie z nami? — to problem, oczywista. Dowództwo — kto obejmie? Kto stanie pośród ciur? Na kogo ruszyć najpierw? I kto w zaciszną przystań ukradkiem, milczkiem wpłynie spomiędzy raf i chmur? Gra trębacz nad Krakowem. Nie poddał się, choć poległ, bo wielka jego miłość.

Gra miastu larum.

Cyt!...

Agnieszko, myśmy dzieci. Za chwilę — dzwonek w szkole... Czy słyszysz? To za ścianą zagrano twista z płyt.

Przełożył: WITOLD DĄBROWSKI

FILM DYDAKTYCZNY

Rozmowa z dyrektorem Maciejem Łukowskim

III Ogólnopolski Festiwal Filmów Dydaktycznych i Sympozjum Filmu Naukowego jest imprezą, która po raz trzeci odbywa się w Łodzi i która daje okazję do oceny dwuletniego dorobku zarówno kinematografii profesjonalnej, jak i realizatorów niezawodowych w dziedzinie filmu dydaktycznego i popularyzującego. Specyfiką tych imprez jest to, że uczestnikami w nich przedstawiciele świata nauki, dydaktycy wszystkich szczebli szkolnictwa, realizatorzy filmów, a także przedstawiciele instytucji, odpowiedzialnych z urzędu za stan i rozwój filmu dydaktycznego w Polsce.

W przededniu III Ogólnopolskiego Festiwalu Filmów Dydaktycznych i Sympozjum Filmu Naukowego publikujemy rozmowę z dyrektorem Wytwórni Filmów Oświatowych — dr **MACIEJEM ŁUKOWSKIM** i kierownikiem Zakładu Historii i Instytutu Biologiczno-Morfologicznego WAM, prof. dr hab. **LESZKIEM CIECIURĄ**.

Publikujemy także artykuły **JERZEGO POPIEŁA - POPIEŁKI**, reżysera WFO o rzeczywistości filmu dydaktycznego i **TADEUSZA SZCZEPANSKIEGO** — pracownika naukowego Instytutu Teorii Literatury, Teatru i Filmu UL o dydaktyczno-oświatowej roli telewizji.

— Sprawa bezsporna, przy wszystkich innych inicjatywach kinematografii zawodowej i dydaktycznych, pozostaje fakt, że Wytwórnia Filmów Oświatowych jest największym w kraju ośrodkiem produkcji filmów, dla których przyjmujemy umowną nazwę — oświatowych.

— Jakże się bieżące możliwości twórcze i produkcyjne Wytwórni Filmów Oświatowych?

— Wytwórnia Filmów Oświatowych w 1975 roku zrealizuje 155 filmów, w tym 40 tytułów to filmy popularyzujące wiedzę, 50 — to filmy szkolne, realizowane na zamówienie Ministerstwa Oświaty i Wychowania. Pozostałe tytuły to tzw. filmy zlecane, realizowane przykładowo dla resortów rolnictwa i budownictwa, a także dla Telewizji Polskiej. Należy tu jednak podkreślić fakt, że na przykład filmy powstające na zamówienie Ministerstwa Rolnictwa, które od lat wykazuje bardzo konsekwentną politykę w tym zakresie, mają właśnie charakter ściśle dydaktyczny — realizujemy filmy dla szkół rolniczych i dla szeroko rozumianej oświaty rolniczej.

— Czy sądzi Pan, że 50 tytułów rocznie powstających na zamówienie Ministerstwa Oświaty i Wychowania zaspokaja potrzeby współczesnego szkolnictwa?

— Filmy szkolne poza naszą wytwórnią powstają jeszcze w innych ośrodkach. Przykładowo od kilku lat ich produkcją zajmuje się również WF „Czołowska”, a także Centralny Ośrodek Filmów Dydaktycznych, gdzie jednakże realizuje się wyłącznie filmy dla szkolnictwa zawodowego. Sądząc z opinii nauczycieli, ilość, a także, niestety jeszcze, jakość filmów szkolnych jest nadal niezadowalająca. Ograniczenia w ilości produkowanych filmów tkwią zarówno w funduszach, którymi dysponuje Ministerstwo Oświaty, jak i w moceach produkcyjnych wytwórni.

— Jak układa się współpraca Ministerstwa Oświaty z Wytwornią Filmów Oświatowych w ramach istniejących działości?

— Plan tematyczny układa Instytut Programów Szkolnych Ministerstwa Oświaty i Wychowania, my jesteśmy jego wykonawcą. W tym miejscu muszę podjąć problem, który ogromnie komplikuje sam proces realizacji filmów szkolnych i często rzutuje na ich jakość. Otóż głównym naszym partnerem rozmów w czasie powstawania filmu szkolnego jest Departament Inwestycji (sic!) Ministerstwa Oświaty. Nietrudno się domyślić, iż w sytuacji tej tematem głównym tych rozmów są koszty filmu. Ustawione z góry przez Departament Inwestycji, w praktyce realizacyjnej okazują się często nieradne. Bywają przecież tematy, wymagające znacznie większych nakładów finansowych aniżeli te, które określone zostały jako precyzyjnie koszty filmu. Bywają też tematy, przy

których można zaoszczędzić pieniądze, wykorzystane później przy realizacji filmów droższych z urzędniczymi Departamentu Inwestycji, pertraktacje rzadko uwięzione sukcesem, są znową naszą pracą. Zarządzenia ekonomiczne niejednokrotnie decydują więc o merytorycznej i formalnej wartości filmu. Wydaje nam się, że udzielona nam przez Ministerstwo Oświaty swoboda menelowania globalną sumą przeznaczoną na realizację np. 50 filmów szkolnych w roku, rozwiązałaby wiele bardzo istotnych dylematów towarzyszących ich realizacji i w końcowym efekcie decydujących w ogromnym stopniu o ich jakości. Odpowiedzialność za merytoryczną i formalną wartość filmów szkolnych winna mieć miejsce wyłącznie na linii faktycznej, którą wyznaczają Instytut Programów Szkolnych i realizatorzy z Wytwórni Filmów Oświatowych.

— Czy aktualną wartość filmów szkolnych ocenia Pan pozytywnie?

— Niestety, nie. Sądzę, że traktuje się je jeszcze zbyt stereotypowo. Zbyt często na przykład prezentacji spraw drobnych towarzyszy zbyt duży kontekst. Nie zawsze bierze się pod uwagę miejsce filmu w konkretnych jednostkach lekcyjnych, a także roli nauczyciela w procesie wykorzystania tego filmu. Jednocześnie zbyt mało uwagi poświęca się artystycznym środkom wyrazowym. Film szkolny musi posiadać również swą jakość estetyczną, a wymagania zarówno nauczycieli jak i uczniów rosną — są to pokolenia wychowane już w kulturze audiowizualnej.

— A jak test stosunek środowiska realizatorów do tzw. filmu szkolnego?

— No, cóż, niewątpliwie realizator filmowy ma świadomość tego, iż w zakresie filmu ściśle dydaktycznego jest mniej. W ramach zainteresowań naszej Wytwórni, tzw. film popularnonaukowy jest tym gatunkiem, który stwarza dla poszukiwawców większe szanse. Celem naszym jest jednak, by film szkolny realizowali ludzie utalentowani, bo jest to gatunek bardzo trudny. Dla filmu tego udało nam się już zresztą pozyskać wielu dobrych realizatorów i nadal będziemy się o to starać. Chcemy też w realizacji filmów szkolnych postawić na twórców młodych, poszukujących nowych form. Sprawa bardzo ludzka jest jednak także to, i należy o tym mówić, by honoraria za filmy szkolne nie były inne niżeli za filmy pozostałych gatunków.

— Czy w trosce o jakość filmów dydaktycznych podjęto jakieś działania, ułatwiające orientację w ich ocenach przez środowiska pedagogiczne?

— Proszę mi wybaczyć, że wartość i skuteczność filmów przez nas realizowanych pozostaje w orbicie naszych najpoważniejszych zadań, to przecież

jest sens naszej pracy. Wiemy, że nie jest jeszcze dobrze, chcemy jednak, by było lepiej. Dowodem niech będzie podjęta w bieżącym roku przez nas inicjatywa. W porozumieniu z Kuratorium Okręgu Szkolnego m. Łodzi w tym roku szkolnym zaprezentujemy sześć zestawów tematycznych filmów szkolnych w dwu osobnych grupach — nauczycieli i uczniów. Grupy te objęte zostaną badaniami ankietowymi, przygotowanymi przez WFO we współpracy z socjologami Uniwersytetu Łódzkiego. Badania obejmą ocenę tematów filmów, ocenę ich wartości merytorycznych, miejsca w programie nauczania, a także walorów estetycznych. Wyniki badań i dyskusje realizatorów z nauczycielami służą będą powstającym w przyszłości filmom. Raz w roku przewidujemy też spotkania z wizytatorami i dyrektorem szkół. Pragniemy zyskać ich poparcie dla przedsięwzięcia interesujących nas spraw.

— Mówiliśmy dotąd o filmie szkolnym. Wiadomo jednak, że bardzo często nauczyciele w swej pracy stępią również do filmu popularyzującego wiedzę. Filmy tego gatunku w pełni bowiem pełni funkcje w zakresie filmu szkolnego. Jakże gładko wobec tego gatunku posiada aktualnie Wytwórnia?

— Obok tradycyjnie już przez Wytwornię naszą preferowanych kręgów tematycznych, takich np. jak filmy o sztuce, w najbliższym czasie pragniemy eksponować problematykę światopoglądową, cykl filmów społeczno-wychowawczych pod ogólnym hasłem „Zanim powstanie rodzina”, cykl „Młodzież a świadomość”. Film biologiczny, którego dorobek jest ogromny, będzie nadal pozostawał w kręgu naszych szczególnych ambicji. Popularyzację tych filmów rozwijamy obecnie poprzez porozumienia z Towarzystwem Wiedzy Powszechnej i Polskim Radiem. Pokazy okolicznościowe i środowiskowe, a także udział tych filmów w seansach kinowych pozostaje stałą formą ich prezentacji.

— W Łódzkich Festiwalach i Sympozjach uczestniczą w tym samym stopniu przedstawiciele szkolnictwa średniego, co i wyższego. Co z dorobku ostatnich dwóch lat Wytwórni Filmów Oświatowych proponuje wykładowcom szkół wyższych dla ich pracy dydaktycznej?

— Zadała Pani to pytanie celowe, zna Pani bowiem doskonale odpowiedź. Od szeregu lat w Wytwórni Filmów Oświatowych nie powstał ani jeden film dla wyższej uczelni. Absurd ten trwa i nie widzę żadnych prognozyków na zmianę. Wytwórnia Filmów Oświatowych jest zleceniobiorcą, natomiast Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki nie zamawia u nas filmów. Szkoły wyższe, jak dotąd, praktycznie pozbawione zostały możliwości korzystania z tego nurtu nowoczesnych metod nauczania. Filmy także bowiem nie powstają. Jedynie akademie medyczne korzystają z filmów realizowanych w specjalistycznej Wytwórni, istniejącej przy

Państwowych Zakładach Wydawnictw Lekarskich, akademie rolniczej, sądzę, wykorzystują czasami filmy, które powstają w WFO z myślą o szkołach rolniczych. Że istnieją ogromne w zakresie filmu dla szkół wyższych potrzeby, nikogo przekonywać nie trzeba.

— A jak wygląda sprawa programowania tematów filmów, w zakresie których WFO zachowuje postawę autorską — myślę o puli filmów popularyzujących wiedzę, realizowanych dla kin i dla TVP.

— By sprostać faktycznym potrzebom, podjąć takie problemy, by filmy nasze były odzwierciedleniem ducha czasu, powołaliśmy przy WFO honorową Radę Naukową. Nasze zaproszenie przyjęli m.in. prof. prof. Janusz Górski, Stanisław Lorentz, Antonina Kluskowska, Jan Moll, Eugeniusz Rybka, Bohdan Suchodolski. Ogromnie liczymy na pomoc Rady i na to, iż udział w niej wielu znakomitości świata nauki pozwoli na szerzenie idei filmu oświatowego dalej jeszcze niż było to dotąd.

— Czy w ostatnim okresie poczyniono pewne kroki dla rozwiązania sprawy wymiany międzynarodowej w zakresie filmu dydaktycznego, zwłaszcza dla wyższych uczelni, co mogłoby rozwiąć wiele aktualnie istniejących problemów?

— Sprawa ta leży w gestii Filmu Polskiego, nie słyszałem jednak o szerszych planach.

— Mnieśniam zatem należy, iż mimo, że sprawa ta, jak wiele innych dyskusyjnych na poprzednim — II Sympozjum Filmu Naukowego, nie doznała się po dwóch latach żadnych postanowień. Porozumienia na szczeblach Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, Ministerstwa Oświaty i Wychowania oraz Ministerstwa Kultury i Sztuki — nadal brak. Czy nie sądzi Pan zatem, że spotkania Łódzkie przedzielić się mogą w cyklomną imprezę, której postulaty jej uczestników w niezmienionym kształcie uwzględnił będzie można jeszcze bardzo długo?

— Upór i konsekwencja zawsze dają rezultaty, choć często zbyt późno. Festiwal Filmów Dydaktycznych i Sympozjum Filmu Naukowego, które po raz trzeci odbywa się w Łodzi, jest w tym przekonaniu imprezą niezwykle potrzebną. Animuje poczynania realizatorów, stwarza płaszczyznę wymiany doświadczeń i życzeń tych, którzy film wykorzystują w swej pracy, zwraca uwagę na sprawy najistotniejsze dla rozwoju filmu dydaktycznego, zobowiązuje władze do rozwiązywania podstawowych problemów. Dla miasta, które szczyt się licznymi placówkami naukowymi, wyższymi uczelniami, ośrodkami filmoznawczymi, szkołą przygotowującą kadry przyszłych realizatorów oraz wytwórniami filmowymi, impreza ta jest znakomitą i zobowiązującą wizytówką.

Rozmawiała:
EWA NURCZYŃSKA

Rozmowa z profesorem Leszkiem Cieciorą

— Z okazji III Festiwalu Filmów Dydaktycznych i Sympozjum Filmu Naukowego wiele spraw związanych z zagadnieniami nowoczesnych form nauczania stanęły w centrum uwagi zainteresowanych środowisk. W zespole tych spraw problem filmów dydaktycznych dla wyższych uczelni wysuwa się na plan pierwszy. Niestety, głównie dlatego, że czeka na decyzje podstawowe — kto, gdzie, za czyje pieniądze i jak filmy te ma realizować. Odpowiedzi na podobne pytania w odniesieniu do filmów dla szkół podstawowych i średnich są dziś już bardzo konkretne. Szkoły wyższe, poza akademią medyczną, praktycznie pozbawione są możliwości korzystania z filmu dydaktycznego i badawczego.

W związku z tym, że od kilku miesięcy pełni Pan Profesor funkcję przewodniczącego zespołu przygotowującego organizację Międzyuczelnianego Ośrodka Metodycznego Filmu Dydaktycznego, pragnę Pana prosić o informacje ze sprawą tą związane, jako że w istocie swojej dotyczą one generalnych problemów sytuacji filmu dydaktycznego dla szkół wyższych.

— Prace podjęte przez wspomniany przez panią zespół, mają w chwili obecnej charakter wstępny. Nim przejdę do ich omówienia, muszę jednakże wyjaśnić iż podstawowe założenia, już u swych źródeł, są wyrazem określonych możliwości, a nawet kompromisu. Zespół przygotowuje założenia organizacyjne i merytoryczne wspomnianego Ośrodka. W wersji pierwszej zespół ten miał pracować nad utworzeniem Międzyuczelnianego Ośrodka, który zajmowałby się nie tylko zagadnieniami organizacyjnymi i metodycznymi, ale również wytwarzaniem filmów dydaktycznych.

— Był to przecież jeden z głównych

wniosek poprzedniego — II Sympozjum wniósł adresowany do środowiska łódzkiego Sądzone z Łódź posiadające siedem wyższych uczelni, w tym PWSZ i Zakład Wiedzy o Filmie oraz bazę w postaci zaplecza zawodowej kinematografii i bardzo aktywne działające pod przewodnictwem prof. dr Władysława Gundlacha oddział Polskiego Stowarzyszenia Filmu Naukowego, jest bardziej od innych miast predestynowana do pojęcia tego eksperymentu.

— Tak było istotnie. Oddział Łódzki PSFN, podejmując się próby realizacji wniosku II Sympozjum, mówiącego o założeniu wspomnianego Ośrodka, złożył w Ministerstwie Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki projekt jego organizacji. W kwietniu bieżącego roku otrzymaliśmy z ministerstwa akceptację projektu ale w jego wersji zubożonej o ów najistotniejszy nurt — wzięcie w rachubę filmów. Zgodnie z zaleceniem ministerstwa, Międzyuczelniany Ośrodek Metodyczny Filmów Dydaktycznych działający swą koncentracją na opracowaniu informacji o potrzebach tematycznych w zakresie filmu dydaktycznego w szkołach wyższych, typowaniu autorów, opracowaniu scenariuszy i zapewnieniu konsultacji zaakceptowanym pozycjom tytułowym.

— A kto realizację tych filmów ma finansować i gdzie mają one powstawać?

— Zgodnie ze słusznym skądinąd założeniem Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, za realizację i obróbkę tych filmów odpowiedzialny ma być Zakład Produkcji i Usług Filmowych Ośrodka Postępu Technicznego w Katowicach, w który to Zakład ministerstwo zaінwestowało poważne środki finansowe. Wieleletnie doświadczenia wyższych uczelni, podejmujących próby realizacji filmów dowodzą jednak, że współpraca z OPT układa się fatalnie. Zakład Produkcji i Usług Filmowych jest zleceniobiorcą, którego koszty usług przekraczają możliwości uczelni, które nie posiadają na ten cel środków. Sytuacja na dziś jest taka, że trudno sądzić, iż Ośrodek Postępu Technicznego można było uznać za tę bazę produkcyjną, która rozwiąże, chociażby połowicznie, problemy i zapotrzebowanie na film badawczy i dydaktyczny dla szkolnictwa wyższego.

— Jak widziano więc rolę Międzyuczelnianego Ośrodka Filmu Dydaktycznego, który miał powstać w Łodzi?

— W tej, dość katastroficznej sytuacji, sądzono, że Ośrodek ten skupiając posiadane, a często różny i nawzajem się uzupełniający sprzęt i urządzenia filmowe różnych uczelni, zdola zapewnić

podstawę dla realizacji filmów bazą produkcyjną. Dotyczy to również miało środków finansowych. Budżety uczelni, instytutów i placówek gospodarczych przeznaczone na wytwarzanie filmów, są niewielkie, sprzęt nie wystarczający. Koncentracja i koordynacja działań mogła się okazać pozytywna. Aktualne rozproszenie środków i możliwości sprawia, iż realizacja filmów przez jedną uczelnię jest prawie niemożliwa. Dowodem niech będzie fakt, że w ciągu dwóch lat dzielących nas od poprzedniego Festiwalu, w łódzkich wyższych uczelniach powstał jeden, zrealizowany w Politechnice, film ściśle dydaktyczny.

— I tak zapewne jest w całej Polsce, jakże na III Festiwal nadesłano zaledwie kilka filmów zrealizowanych w chwili, gdy na przykład jedyny, działający dla potrzeb szkolnictwa medycznego Zakład Wytwarzania Filmów przy PZWL zrealizował ich kilkanaście.

— Może model PZWL mógłby być przykładowym dla organizacji analogicznego ośrodka w obszarze szkolnictwa wyższego, bo Ośrodek Postępu Technicznego, jak dotychczas, tych warunków nie spełnia. W sytuacji tej ograniczenie pierwotnej koncepcji Międzyuczelnianego Ośrodka w Łodzi do zadań organizacyjno-metodycznych jest swoistym kompromisem.

— Problem produkcji filmów dla wyższych uczelni pozostaje więc nadal nie rozwiązany. Nie realizuje ich kinematografia zawodowa, bo Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki filmów tych nie zamawia. OPT zadań tych nie spełnia również. Idea Międzyuczelnianego Ośrodka w swej wersji pierwszej, będącej próbą wyjścia z impasu, też upadła. Co więc dalej?

— Nie umiem dać pełnej odpowiedzi. Sądzę jednak, że sprawę OPT trzeba rozstrzygnąć dla dobra szkół wyższych i znaleźć pieniądze na film dydaktyczny. Wracając do spraw łódzkiego ośrodka chcę podkreślić, że nie rezygnujemy jednak z jego powołania. Sądzę, że zalecone przez ministerstwo formy pracy i dane kompetencje będą zyciem zadani pełniejszych.

Cele, jakie stawiamy przed tym ośrodkiem na dziś, to m. in. — zdobycie pełnej informacji o posiadanym przez uczelnie łódzkie sprzęcie filmowym, koordynacja i pomoc w zakresie wzajemnych usług i wymiany doświadczeń, zbieranie informacji o potrzebach tematycznych, opieka merytoryczna i warsztatowa nad powstającymi filmami od etapu scenariuszowego po kolaudację finansową z ministerstwem, czy

usługowych w OPT, a także w WFO. Dalsze prace — to stworzenie kartotek filmów powstających w uczelniach i instytutach krajowych oraz organizacja wymiany tych filmów, stosowanie najskuteczniejszych form wprowadzenia środków audiowizualnych czy tylko wizualnych do dydaktyki naszych szkół wyższych. Pragniemy też dążyć do tego, by powstającym w konsultacji z Ośrodkiem filmom towarzyszyły przezroczą i przewodnik metodyczny. Myślę tu o realizacji kompleksowego edytorstwa technicznych środków nauczania, jest to bowiem model idealny. Należy też dążyć do realizacji wstałek, cytowań i petli filmowych, tak koniecznych, a nie istniejących praktycznie form filmowych.

Sądźmy, że powołanie w najbliższym czasie przez Kolegium Rektorskie Międzyuczelnianej Rady do Spraw Filmu Dydaktycznego i Audiowizualnych Środków Nauczania powinno być pierwszym etapem realizacji tych zamierzeń. W składzie Rady winni się znaleźć przedstawiciele Zakładów Nowych Techniki Nauczania i wszystkich łódzkich uczelni, przedstawiciele PSFN, WFO, WFF i LZKP a także, chociaż jeden profesjonalny reżyser i operator, konsultujący filmowe prace ludzi, którzy w kamerze znaleźli partnera swych działań dydaktycznych i badawczych. Patronat Kolegium Rektorskiego nad działalnością Międzyuczelnianej Rady może zagwarantować powstanie Międzyuczelnianego Ośrodka Metodycznego, który w dalszych perspektywach swego rozwoju dojdzie może także do procesu wytwarzania filmów.

— Czy w sytuacji, kiedy potrzeb naszych uczelni nie są w stanie zaspokoić krajowe możliwości organizacyjno-produkcyjne, nie bierze się pod uwagę wymiany międzynarodowej? Prezydium Polskiej jest członkiem Międzynarodowego Stowarzyszenia Filmu Naukowego, posiadającego również swoją filmotekę.

— Jest to sprawa, o której wiele się dyskutuje, nadal jednak wyników tej dyskusji nie widać.

— Dzielę się Panu Profesorowi za te, w smutnym tonie prowadzona rozmowa, będąc zapewne wręczlika wielu zainteresowanych, jeśli powiem, że perspektywy, o których Pan mówił, widziane zresztą już w skali krajowej, winny otworzyć się jak najszybciej. Przekonanie bowiem o słuszności idei i potrzeb oraz entuzjazm wielu ludzi nie może zastąpić planów i decyzji centralnie rozwiązywalnych nabrzmiały dziś problemy nowoczesnej dydaktyki w szkołach wyższych.

Rozmawiała:
EWA NURCZYŃSKA

POTRZEBY I RZECZYWISTOŚĆ

Metody dydaktyczne, które ograniczają się do wykładu, podręcznika, tablicy i kredy, wspomagane są wprawdzie coraz skuteczniej przez nowoczesne techniki audiowizualne, lecz trudno się dziwić, że te niezwykle efektywne w nauczaniu środki wykorzystuje się jeszcze w sposób niezadowolający. Składa się na to szereg przyczyn.

Większość nauczycieli nie umie obsługiwać projektorów filmowych, a zorganizowanie projekcji w niejednej szkole jest przedsięwzięciem trudnym i bardzo czasochłonnym ze względu na brak odpowiednich pomieszczeń i urządzeń.

Nauczycielowi nieodzowny jest pomocnik, który pod jego kierunkiem troszczyć się będzie o odpowiednie wyposażenie pracowni przedmiotowej, o stan i konserwację pomocy naukowych, o przygotowanie i obsługę w czasie lekcji materiałów poglądowych, magnetofonów, projektorów itp. Pomocnik taki, zwany asystentem do spraw pedagogiczno-technicznych zatrudniany jest od lat dwudziestu na przykład w szkole w Stanów Zjednoczonych.

Wiele filmów oferowanych szkołom, to pozycje zdeaktualizowane, a nasycone niektórymi grupami tematycznymi budzi zastrzeżenia. Dotyczy to głównie filmów z dziedziny fizyki, chemii, matematyki, wychowania obywatelskiego i socjologii. Brak również filmów dla najmłodszych uczniów szkół podstawowych.

Z każdego filmu wykonuje się 250 kopii. Czy taki nakład jest wystarczający? Mamy w Polsce około 25.000 szkół podstawowych i 900 szkół średnich. Do szkół podstawowych uczęszcza 5.000.000 uczniów, do szkół średnich — 600.000, a szkolnictwo zawodowe kształci 1.800.000 uczniów. Jedna kopia filmu przypada zatem na 120 szkół. W każdej z tych szkół w tym samym mniej więcej czasie przerabiany jest ten sam program lekcyjny. I jak tu mówić o właściwym wykorzystaniu filmu jako pomocy w procesie edukacji szkolnej? Przykro patrzeć na kopię zredukowaną z taśmy 35 mm na taśmę 16 mm. Cały wysiłek realizatorów, poświęcony odpowiedniej korekcie barwy i dźwięku, idzie bowiem na marne. Często w kopiach masowych brak synchronizacji dźwięku z obrazem. I żeby było jeszcze ciekawiej, w filmie brak często albo początku, albo końca, albo całych sekwencji obrazowych.

Problemy filmu nauczającego i wystąpienia, dotyczące zadań oraz potrzeb kinematografii oświatowej, jeszcze nie tak dawno traktowano jako sprawy mało ważne, peryferyjne, będące nieistotnym marginesem twórczości fabularnej. Opracowany i zatwierdzony na przełomie 1970 roku plan rozbudowy Wytwórni Filmów Oświatowych powędrował do lamusa i nie doczekał się realizacji.

Niekorzystne tendencje wobec twórczości w dziedzinie filmu dydaktycznego i popularnonaukowego dominowały w resorcie kinematografii jeszcze w roku 1972. Projektowane wówczas przedsięwzięcia miały nawet pozbawić Wytwornię Filmów Oświatowych wydziału obróbki taśmy i dźwięku oraz przewidywały likwidację bazy transportowej. Klimat, w jakim toczyły się obrady III Ogólnopolskiego Sympozjum Filmu Naukowego, na szczęście daleko odbiega od pełnej niepokoju atmosfery, która towarzyszyła dyskusjom sprzed dwóch lat. Uchwała Biura Politycznego KC PZPR i Prezydium

Rządu z 5 grudnia 1973 roku określiła jednoznacznie nie tylko perspektywy rozwojowe kinematografii, lecz również rolę i znaczenie filmu oświatowego w procesie nauczania oraz w dziedzinie popularyzacji osiągnięć nauki, techniki i kultury.

W ślad za tą Uchwałą zawarte zostało 29 kwietnia br. porozumienie pomiędzy Naczelnym Zarządem Kinematografii a Ministerstwem Oświaty

owej, iż jest realizowany zgodnie z wymogami pedagogicznymi i ma służyć nauczycielowi w ramach zaprogramowanych zajęć lekcyjnych jako środek nauczania i kształcenia — tak zdefiniował film dydaktyczny F. Schmid. Definicja ta nie oddaje złożonej istoty tego gatunku filmowego, jego rozmaitych postaci i rodzajów.

Biorąc za punkt wyjścia elementy strukturalne filmu dydaktycznego, możemy — w zależności od ich dominacji — odróżnić filmy o charakterze relacji, opisu lub demonstracji, ale nawet wtedy przekonamy się, że film jest zawsze czymś więcej niż ilustracją o charakterze informacyjnym lub opisowym. Przekonamy się

i najbardziej doświadczeni oraz pełni inwencji realizatorzy.

Zbliżanie człowieka do coraz to nowych zdobyczy nauki i techniki jest zadaniem nie tylko pilnym, ale i kryjącym w sobie wiele fascynacji i piękna. Wiedza współczesna ma jednak to do siebie, że jej fundamenty teoretyczne są niezmiernie skomplikowane. Im bardziej nauka rozwija się, im dalej wchodzi w krwioobiegi społeczny, tym sytuacja popularyzatora wiedzy staje się trudniejsza, a znalezienie właściwej konstrukcji i koncepcji obrazowej wymaga żmudnych poszukiwań i przemyśleń. Trudności te pogłębia jeszcze brak nowoczesnych technik zdjęciowych, które umożliwiają odkrywanie i zrozumienie związków przyczynowych i strukturalnych demonstrowanego na ekranie zjawiska.

Zdajemy sobie z tego sprawę, że zadawalająca nas dotąd formuła filmu popularnonaukowego nie zdaje egzaminu. Sytuację tę może rozwiązać tylko umiejętność znalezienia takiej formy przekazu filmowego, która potrafiłaby pobudzić wyobraźnię odbiorcy i zainteresować go nawet takim problemem, który — chociaż ważny — jest mu najzupełniej obcy. Warto się np. pokusić o filmową ekranizację niektórych zagadnień z dziedziny filozofii!

* * *

Wybitny fizyk i znakomity popularyzator nauki, profesor Arkadiusz Piekara, opublikował w roku 1963 swoje wspomnienia o gimnazjum im. Sułkowskich w Rydzynie. Oceniając z perspektywy czasu wyniki udanego eksperymentu pedagogicznego, jakie było gimnazjum rydzyskie, profesor Piekara pisze:

„Jeśli kraj nie chce w swym szkolnictwie zastój i skostnienia, jeśli chce mieć szkołę postępową, owiną duchem młodości, musi dać jej możliwość pracy twórczej i nowatorskiej. Muszą więc istnieć warsztaty eksperymentalne, pracujące w lepszych i swobodniejszych warunkach aniżeli ogół szkół. Szkoły eksperymentalne są w szkolnictwie taką koniecznością — jak laboratoria badawcze w wielkich fabrykach”.

* * *

Z toku powyższych rozważań nad rzeczywistością filmu dydaktycznego nasuwają się następujące wnioski:

Δ Środowisko filmowe stale odczuwa brak publikacji i opracowań typu teoretyczno-badawczego, dotyczących konstrukcji, środków wyrazowych i wartości dydaktycznej realizowanych filmów.

Δ W planie programowo-produkcyjnym WFO powinny znaleźć miejsce filmy dydaktyczne przeznaczone dla szkolnictwa wyższego i w większym niż dotąd stopniu filmy popularnonaukowe.

Δ Nieodzowne jest jak najpilniejsze stworzenie w WFO nowoczesnej bazy technicznej dla produkcji i pełnej obróbki filmów na taśmie 16 mm z optycznym i magnetycznym zapisem dźwięku.

Δ Sprawa wielkiej wagi jest rozbudowa i modernizacja Wytwórni Filmów Oświatowych oraz właściwe wyposażenie oddziału zdjęć specjalnych.

JERZY POPIEL-POPIOŁEK

FILM PO DZWONKU

Wychowania. Porozumienie to ustala nowe formy współpracy obydwu resortów i określa plan produkcji i rozpowszechniania filmów dydaktycznych. Dla kinematografii jest to ośmiokrotny wzrost produkcji filmów szkolnych do roku 1990. Filmy te będą realizowane od roku 1976 na taśmie 16 mm. Zwiększy się również nakład kopii, który — zamiast 250 z każdego tytułu filmowego — wynosić będzie już za kilka lat 2000, a dla filmu typu SINGLE-CONCEPT w formacie Super 8 mm — 10.000. Dalsze zwiększenie ilości kopii filmowych pozwoli w przyszłości na tworzenie przez szkoły własnych filmotek.

Znaczny wzrost produkcji filmów nie zaspokoi wszystkich potrzeb. Kinematografia będzie realizowała w roku 1985 1.200 filmów krótkometrażowych, podczas gdy rozmaite resorty i wyższe uczelnie już teraz zgłaszają zapotrzebowanie na około 6.000 filmów dydaktycznych! Produkcję tych filmów podejmą placówki, działające w różnych resortach i uczelniach.

Z niektórych wypowiedzi wynika, że od filmów, produkowanych poza kinematografią, nie będzie się wymagać ani wysokiego poziomu technicznego, ani walorów formalnych i artystycznych, ważną natomiast będzie tylko ich poprawność merytoryczna. „Film dydaktyczny tym się różni od innych gatunków twórczości fil-

również o tym, że przebiega między licznymi odmianami i rodzajami filmu dydaktycznego są płynne. Film jako relacja może być utworem poetyckim, opowiadaniem, bajką, reportażem. Może operować dialogiem i akcją. Jako opis może być obrazem życia, monografią. Jako demonstracja może sięgać do zdjęć dokumentalnych, inscenizowanych i animowanych.

Jakie wymagania musi spełniać film dydaktyczny?

Zgodnie z opinią filmoznawców — powinien mieć zwartą i logiczną konstrukcję, a przekazywane w nim informacje muszą być prawdziwe i rzeczowe. Konieczność stosowania rzeczowej informacji wcale nie oznacza, że film dydaktyczny ma rezygnować z artystycznych środków wyrazowych. Przeciwnie! Film dydaktyczny nie może być pozbawiony ani artystycznej wymowy, ani emocjonalnego oddziaływania. Jego środki wyrazowe muszą być jednak tak dobrane, aby nie zniekształcały istotnej treści i prawdziwego kształtu ekspozowanego obrazu. Film ten musi uwzględniać możliwości percepcyjne odbiorcy i pobudzać jego aktywność umysłową. Strona techniczna i artystyczna obrazu oraz jakość kopii filmowej powinny być nienaganne.

Wydaje mi się, że do prac nad tworzeniem tych filmów i wypracowaniem ich właściwego kształtu powinni się włączyć wybitni pedagodzy

Tutaj bowiem integracyjne funkcje tkwiące się z jej możliwościami poznawczymi. Konieczność operowania jednolitą wizją świata, przynajmniej tego, w którym żyjemy bezpośrednio, zdaje się tłumaczyć perswazyjny charakter tego środka przekazu, który standardyzuje pokazywany świat, podpięra słownym stereotypem i sciera jego kantactwo formułą ideologiczną. Jednakże mimo tych zastrzeżeń i ograniczeń interpretację rzeczywistości telewizyjnej przynosi do domu niesłychanie bogactwo obrazowe, w wyniku którego następuje intensywny proces „oswajania się ze światem”.

Pojawienie się telewizji musiało stopniowo coraz bardziej naruszać pełną naturalność, bo posiadającą wielowiekową tradycję równowagę pomiędzy utajaniem człowieka w rzeczy i jego świadomości, który tym sterował. Instytucja szkoły nieuchronnie poczęła tracić patent na wiedzę w obliczu znanego w każdej rodzinie faktu szczególnej atrakcyjności i w szczególności dla dzieci. Stwierdzone przez pedagogów przyspieszone dojrzewanie dzieci znajdujących się w obrębie działania kultury telewizyjnej może rozstrzygnąć nie tylko o obniżeniu granicy wieku rozpoczęcia nauki szkolnej, ale powinno generalnie przebudować cały program oświaty. Już w tej chwili takie poważne korekty w modelu kształcenia i wychowania dokonano w państwach o dłuższym niż u nas stażu telewizyjnym. Jednakże trudność tego zadania zdaje się przetrwać jego odpowiedzialność.

Telewizyjna „szkoła” rozumiana jako globalna lawina informacji, która poza podziałami programowymi spada na

dziecko nie posiada charakteru systemowego, nie hierarchizuje trudności, a polegając jedynie na chłonności intelektualnej młodego odbiorcy nie troszczy się o jego celową organizację. I trudno, aby było inaczej — dokonuje przecież tego zadania mimochodem, liczy bowiem przede wszystkim na dojrzałego odbiorcę. Oczywiście, nie zapomina o programach młodzieżowych, ale przecież i one borykają się z zasadą wspólnego i przeciwnego w sensie dojrzenia adresata, a poza tym adresat ten nie tylko „Ekran z brakiem” czy „Dla młodych widzów” ogląda.

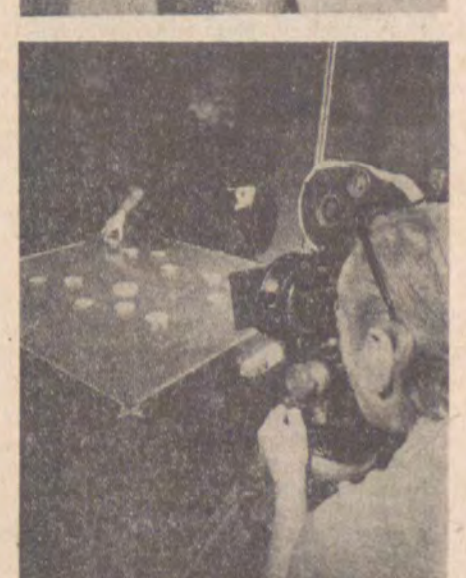
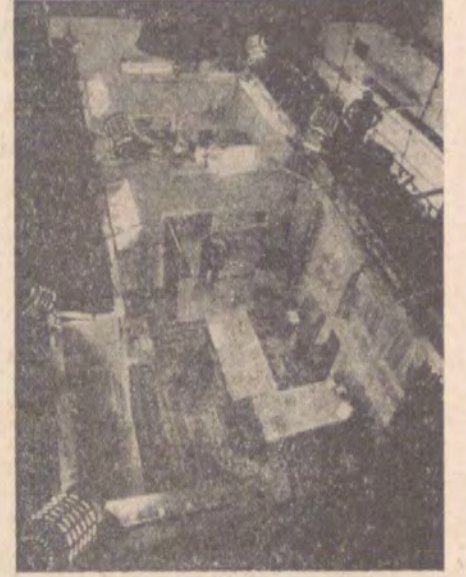
Tak więc inicjacja telewizyjna jest spontaniczna i niezwykle trudno jest szkole walczyć w swoje działanie jej impulsy. Pojawia się potrzeba takiego programu szkolnego, który zostałby zwolniony od balastu informacji na rzecz kształtowania postaw intelektualnych porządkujących potop informacyjny, który spływa środkami masowego przekazu. Wydaje się zresztą, że ostatnie poczynania reformacyjne szkoły idą w tym kierunku, a ich widoczna połowiczność jest pochodną braku sensownej organizacji bloku oświatowego ze strony samej telewizji. Początkowe nadzieje związane ze startem II programu u-tonęły wkrótce w braku zdecydowanej koncepcji tego programu, który wkrótce ześliznął się na ułatwione pozycje zaplecza dla programu I. Ale przecież — powie ktoś — istnieje bogaty program dla szkół w godzinach rannych. Nie bardzo jednak wierzę, aby te skądinąd znakomicie opracowane audycje, były przez nauczycieli wykorzystywane. Nie tylko dlatego, że „po pierwsze, nie mamy

armat” czyli przygotowanie audiowizualne naszych szkół jest nadal grubo niedostateczne, ale przede wszystkim dlatego, że trudno mi uwierzyć w koordynację realizowanego w szkole programu danego przedmiotu z jego telewizyjną emisją. Dlatego też programy te będą trafiały w próżnię tak długo, jak długo magnetowid nie stanie się normalnym narzędziem w pracy nauczyciela. Na razie jednak niepokojące wieści, jakie napływają na temat stanu technicznego naszych magnetowidów każą odłożyć realizację tego marzenia na bliżej nie określonej przyszłość.

Jakościowe szanse, które obiecuje telewizyjna oświata, są trudne do przecenienia. Najpełniejszą możliwością realizacji znajdującej na telewizyjnym ekranie tak cennej przez dydaktyków zasady poglądowości i systematyczności. Obfitość materiału wizualnego, najlepszy wykładowca, częste apelowanie w różnym stopniu do emocji jak i do intelektu, najbardziej celowo ułożone programy, idealne warunki odbioru — oto najważniejsze ogniska zapewniające optymalną efektywność procesu telewizyjnej edukacji. Edukacja ta pojmowana celowo i systematycznie wymaga różnorodnych pozaekranowych form kontaktu z odbiorcą. Telewizja jako instytucja oświatowa posiada już potężne doświadczenia w tej dziedzinie. To już jednak jest zupełnie inny, bardziej szczegółowy temat.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

Foto: W. Parys



PARTNER CZY RYWAŁ?

Eksploatowany już przez humorystów, gdyż uwielbiany w propagandowych ustach frazes „telewizja uczy nas i bawi!” niesie w sobie uszkie peuną oczywistość, której lekceważenie nie sposób. Pomiędzy tu jednak ten drugi, ludyczny zakres społecznych zobowiązań — jest to zajęcie dla sandysty, polega bowiem przeważnie na kaptaniu leżącego. Znaczenie bardziej istotny i doniosły w skutkach może wydawać się ten obszar telewizyjnego zjawiska, gdzie poznawcze funkcje telewizji spotykają się z głodem wiedzy o świecie. Ową głód może być i jest wymuszany instytucjonalnie, dyktowany warunkami skoku edukacyjnego, tej potrzeby dziejowej, która dramatyczną potrzebę aktualnie przeżywamy. Ale pragnienie wiedzy płynie również z naturalnej dla każdej jednostki potrzeby rozpoznania się w komplikującej się rzeczywistości. Na pytanie, czy telewizja dostatecznie wywinazuje się z tego banalnego stwierdzenia nie może być w pełni pozytywnej odpowiedzi.

Huk armat wstrząsał miastem. Na nocnym niebie szalała luna pożarów, płonęły koszary artylerii, garbarnie, domy i sklepy na Bazarze Siennym.

W stronę miasta, zwabione ogniem i hukami, ciągnęły z całego Kubania oddziały partyzanckie. Na drogach stepowych wzbijały kurz podwozy z piechotą, pędziła kawaleria, a na dworcze co pewien czas przyjeżdżały transporty z Tichorieckiej, Kaukaskiej, z Tamania i Noworosyjska.

Przed wejściem do sztabu obrony stały dyżurne samochody z pogaszonymi światłami, a gońcy trzymali w pogotowiu osiodlane konie.

W bramie, przykucnąwszy za karabinem maszynowym, palił papierosa drukarz Astafjew. Na schodach i korytarzach leżeli pokotem śpiący ludzie.

Sztab obrony obradował bez przerwy.

Pokrowski przed ucieczką z miasta rozgromił lewicowe organizacje rewolucyjne. Wielu szeregowych bolszewików zginęło w kałowniach, a schwytych przywódców tymczasowego komitetu wykonawczego partii bolszewickiej unowocześniono jako zakładników. Społeczeństwo miejskie rękami i językami eserowców i mieśszewików namazało Radzie przez zbórkę funduszy, aranżowanie imprez dobroczynnych i organizowanie drużyn uczniowskich. Po ucieczce Rady te polityczne „wanki-wstańki” wyraziły chęć służenia Radom Delegatów. Bolszewikom brak było ludzi. Zdarzało się, że na stanowiska dyrektorów posyłano ludzi, którzy z trudem umieli się podpisać. Triumfujące gaduły weszły do organizacji społecznych i sztabu obrony. Z frontu napływały dobre wiadomości, wiec praca w sztabie wrzała, skrzypiały pióra, piszczały telefony polowe, otrzymawszy skierowanie wybiegali agitatorzy, kreślił się gońcy i furazierowie, dowódcy przybywających oddziałów otrzymywali zadania bojowe. Wystarczyło jednak by gdzieś w pobliżu wybuchł zbitakany pocisk albo rozeszła się niepokojąca pogłoska i w sztabie wybuchała panika: jeden łapał za teczkę, drugi za walizkę, sekretarz napychając kieszeń protokołami, gnął je niemilosternie i w dreczącej ciszy slychać było tylko, jak trzaskają drzwi i szuffady biur.

W kącie sali na kanapie leżał z mokrym ręcznikiem na czole młodziutki głównodowodzący Republiki Kubancko-Czarnomorskiej, Awtonomow.

— Wstawaj, wstawaj, gamoniu — tarosił głównodowodzącego jego zastępca Sorokin, wezwany do sztabu na naradę. — Wyległabyś się tylko na miękkich kanapach i przyjmował defilady, a jak trzeba wojować, to cię nie ma.

— Doktora — jęczał urzędnik Awtonomow. — Umieram.

— Batów dobrych ci trzeba, bezwstydniku. Cywile umawiają się, żeby poddać miasto, a ty nawet palcem nie kiwniesz.

— Iwanie Luklezu, kochany — do Sorokina podszedł jeden z najbardziej wpływowych członków sztabu — pan mnie źle rozumiał. Nikt nawet nie myśli o odwrocie. Ja proponuję tylko przenieść sztab na dworzec, do wagonów. Jeżeli bowiem wtargną kadeci, to przede wszystkim powiesz nas, ideowych, a rewolucja, pozbawiona wodzów, zamrze na długo w całym kraju.

— Wybijają, wywieszają, uciekać trzeba, uciekać! — grzmiał z kąta inny członek sztabu. — Wpuścimy białych do miasta jak do potrzasku, a potem okraźmy i stukniemy.

Sorokin wybuchnął gniewem: — Banda cywilna! Zdrajcy! Zabierajcie swoje parasole i kalosze i przyskajcie na złamanie karku! Zostanie bez wodzów, ale z wojskami wiernymi rewolucji. Nie oddam miasta.

Bolszewicy Pietia Ryżow, Frol i długowłose anarchista Afrikanow krzyknęli jeden przez drugiego Sorokinowi, że oni też nie zgadzają się ze swoimi towarzyszami, lecz ten nie chciał już o niczym slychać i dobywszy szabli rzucił się do drzwi.

— Na front, przyjaciele, na front! Obowiązek nas wzywa!

Za nim, niezmyślony, pszy za swym panem, pobiegli Kozacy Gajzeniec i Czornyj — jego straż przyboczna.

— Lotrze! — wydzierał się Sorokin już na ulicy, zatrzymawszy dowódcę garnizonu Zolotariowa. — Na froncie wrze święta walka, a u ciebie na tyłach ciągle morderstwa i rabunki. Pijane bandy szwendają się po ulicach, obdzierają z łachów swoich rannych i sieją panikę wśród spokojnej ludności. Wartownicy palą papierosy na posterunku, prowadzą rozmówki i nie stosują się do przepisów regulaminu. Ja sam lubię wypić, ale chcieć tylko wtedy, gdy nie ma walki.

Zolotariow przeżył się i mamrotał coś na usprawiedliwienie. Dowódca schwył go za ramiona i począł tłuć głową o parkan.

— Nikczemniku... Wszelkimi środkami, odwołując się do rozsądku i sumienia, powinienesz otrzeźwiać moczymordów i rabusiów, a tymczasem sam zalewasz się w pestkę, grabisz i całe noce hulasz z kurwami.

— Wybacz...

— No idź. Tylko uchłany nie pokazuj mi się na oczy, bo zastrzelę. Rozkazuję niezwłocznie przywrócić i utrzymać w mieście porządek. Wszelkie skandale tłumić siłą oręża.

Dowódca garnizonu zasalutował: spod szerokiego rękawa czerkieski błysnęła bransoleta. Sorokin pogroził mu szpicrutą i wskoczywszy na ogiera, pocałował. Zolotariow został później z rozkazu komitetu rewolucyjnego fozstrzelany. Awtonomow wkrótce po opisanych wypadkach, wbiwszy sobie do głowy, że jest Bonapartem, wycelował lufy armat na Kubaniską Radę Komisarzy Ludowych, za co został zdegradowany i znieślawiony.

Głównodowodzącym po usunięciu Awtonomowa i Kalnina został wybrany Sorokin.

Frol wyszedł na ulicę.

Po chodnikach, wyprzedzając tabory, kłusowała kawaleria.

Siedzi pan general,
Przed nim stoi kasza,
A biedacy krzyczą:
Cala Rosja nasza...

Ulica rozbrzmiewała śpiewem od końca do końca.

Młody oficerze,
Dokąd maszerujesz?
Trafiś mi pod rękę,
Kulki pokosztujesz...

Otóż to właśnie, pomyślał Frol i zadrżał z radości. Z rozrzwienia aż go w gardle ścisnęło, a w oku zakrę-

na kawałek chleba? Dajcie im nauczkę, chłopaczki, zalejcie sadła dębowego za skórę tym pasibrzuchom, niechaj się dowiedzą, jakie to biedy bywają na świecie... — Czerwona, zarta od lugu ręka starszka kreśliła znak krzyża nad przechodzącymi kompaniami.

Posiłki ciągle przybywały. Ludzie i tabory zwały wszystkie ulice i podwórza, przylegające do brzegów Kubania, Bazaru Siennego i ogrodów.

Walka wrzała już czwarty dzień. Z pola walki prowadzono pod ręce i niesiono rannych. Niektórzy wlekli się sami, ciągnąc za sobą poobijane nogi i zaciskając świeże rany. Inni odpoczywali pod osłoną domów i parkanów. Trafiony kulą młec czołgał się po bruku. Podbiegł do niego sanitariusz: „Krew we mnie stygnie” — z trudem wyszeptał rany i objąłszy słup, umarł. Potrącając ludzi przebiegł truchtem osiodłany koń — za nim wlokły się po jezdni jelita z rozszarpanego brzucha.

Za murem — punkt opatrunkowy. Przypominający rzeźnika w szlachetnie felczer, zbrzygany krwią aż po same wąsy, podpruwał brzytwą nogawki i rękawy, sięgał też z przestrelonych nóg buty. Zapłakane i śmiertelnie zmęczone kobiety uwijały się przy rannych.

— Ach, ach! — krzyknęła nagle jedna z nich poznając swego męża. Był ciężko ranny w pierś i krew tryskała strumieniem. Nie panując nad sobą zerwała z głowy chustkę i zaczęła zatykać nią ranę. Sanitariusze z trudem oderwali ją od nosy.

Rannych otoczono, pytano o przebieg walki, częstowano chlebem i tytoniem.

Waśka Gałgan opowiadał jak nastę-

— O świecie podlatuje do naszych okopów jakiś frajerzyna w porwanym płaszczu i bez przerwy brzęczy: „Braciśzkowie, zdrada” — „Gdzie, pytamy, zdrada?” — „Wszyscy nasi dowódcy to durnie i jelopy trzeba ich bić. Sorokin podaje fałszywe sygnały. I wszystkie nasze pociski lecą do rzeki Kuban”. — „A kto ty jesteś?” — „Ja, powiada, minier z batalionu saperów. Bij dowódców, oni nas sprzedali. Ratujcie się, marynarze, zdrada”. My do niego: „Wasze dokumenty?” On bryk i nawiewa. My za nim, a on od nas. Dopędziliśmy go, przewróciliśmy i zaczynamy obszukiwać. Ściągnęliśmy but — pod onucą flaga biała ściągnęliśmy drugi — wypadły naramienniki. „Ty co, lachudro, rufa do wiatru nas wystawiasz?” — „Przebaczcie, płacze, braciśki, chociaż nie jestem saperem, tylko porucznikiem, to ze mnie najprawdziwszy republikaniec, kocham rewolucję i prosty lud”. — „Ty, krzyjemy, nas kochasz, a za co my mamy was kochać?” I ledwo zdążyliśmy wytransportować go na tamten świat a już ślyszymy, gu-gu, gu-gu, tra-ta-ta, tra-ta-ta. Wzdłuż całego frontu podniosły się ich tyraliery i do ataku na nas! No, mamuniu kochana, naszatkowaliśmy ich całą stertę!

Bum!
Z zaułka wali armata i bezwładnie toczy się do tyłu.

— Wybuch za celem! — krzyczy z dachu obserwator.

Bum!
— W celu!
Bum!
— W celu! Praż ich ogniem szybkim!

Szewc z przedmieścia, Wania Gribow, siedział na łożu rozbitej armaty i rozciągał na kolanie sfatygowaną harmonię. Przy każdym wystrzale wdrygał się i śmiał do rozpunku.

— Krop, Mikiszka! Zadaj im bobu!

Pod płotem, z rozpostartymi rękami, twarzą ku ziemi leżał nieruchomo chłopiec w kapocie z wypaloną dziurą na grzbiecie. Sanitariusze pociągali go za nogi, by wrzucić na wóz z trupami.

— Czego? — zaryczał i otworzył jedno oko.

— Żyjesz?
— Odwalcie się stąd! — Chłopiec przewrócił się na bok i od razu zaczął chrapać.

— To dopiero diabeł — dziwili się ludzie. — Śmierć nad nim się uwija,

nad uchem wali armata, a on sobie śpi i bimba na wszystko.

Frol, pochyliwszy się, przebiegł przez otwartą przestrzeń i skoczył do okopu pełnego ludzi. Jedni strzelali, inni spali objawszy karabin. Dwóch starych żołnierzy siorbalo herbatę, nie wiadomo, skąd wytrząśniętą.

— Kogoś ty się, Pietia, nastraszył?
— Oj, wujaszku, strasznie było w nocy — Pietia wywracał oczy ładując taśmę do karabinu maszynowego. — Dookoła dudni, ogień błyska, ziemia pod nogami się chwije, z rozpalonych karabinów maszynowych leje się roztopiony ołów, ranni jęczą, a tutaj jeszcze w ciemności Chińczyki gęgają. Oj, strach mnie obleciał i dalek drapaka. Wypałem się w domu i skoro świt — znowu tutaj. Matka nie chciała puścić, ale wyskoczyłem przez okno.

Gdzieś daleko zagrały trąbki sygnalistów... Narastający na skrzydłach przylatujący krzyk — hura-a-a-a! — przetoczył się wzdłuż całej linii.

W okopach zaczął się ruch.

— Znowu się pehaja — rzekł żołnierz odstawiwszy blaszany kubek z nie dopita herbatą i wzięwszy karabin, wstał.

Niedaleko po zaozonym gruncie ogrodu warzywnego czołgali się oficerowie.

— Wujaszku, daj mi strzelić — poprosił Pietia.

— Ja ci postrzelam, wisusie! — krzyknął na niego stary żołnierz. — Siedź cicho i nosa nie pokazuj.

Frol nie zdążył wystrzelić nawet jednej taśmy, gdy karabin maszynowy się zaciął. Nie umiając usunąć zacięcia, machnął ręką i przebiegł do sąsiedniego milczącego karabinu maszynowego, obok którego rzucił się w drawkach Węgier Franc: na jego puszystych wosach ukazała się różowa pianka.

Artyleria, jakby oszalała, prażyła ogniem huraganowym.

Wyjścia nawalnicza stały zatrzymała nacierających.

Chwila i tyraliera potoczyła się z powrotem.

Karabiny maszynowe wywozili jeszcze trele, gdy obok Dworca Czarnomorskiego zabrzmiała srebrzysta orkiestra i na oczach nieprzyjaciela Sorokin, otoczony świtą, przeszedł się wzdłuż frontu, tańcząc l-e-gin-kę i strzelając w górę z dwóch maszynów. Partyzanci schwyliłi głównodowodzącego za polę malinowej czerkieski i ściągnęli go do okopu.

Przed okopami pod drutami kolczastymi jęczeli ranni, Pietia czołgał się do nich z butelkami wody na szyi.

Pocisk wysłany czyjaż sześciłwą ręką pozbawił życia Kornilowa. Denikin, objawszy dowództwo, zrezygnował z obłężenia i armia rzuciła się do ucieczki, pozostawiając na drodze działa, tabory i setki rannych towarzyszy broni.

Był wiosenny słoneczny poranek. Pole bitwy przedstawiało smutny obraz... Wszędzie leżały wyrzuczone luski, puste bańki od konserw, ładownice, odlamki stali, brudne onuce, zakrwawione szmaty i trupy... W rzekach gęsto płynęły śnięte ryby. Kolysząc się i wirując przenosiły wzdete trupy końskie. Odór padliny rozchodził się daleko.

Lecz myśli żywych obracali się w kręgu życia.

— Piechota, na podwozy...! Konnica, naprzód...!

Parowóz tuckoże,
Wagonów aż czterech,
Za Kubaniem epolety
Prusia ochwycie...

Muzyka chwycia za serec.

Nasz Soroka atakuje
I ciągle się śmieje,
A kadety uciekają,
Niech ich krew zaleje...

Partyzanci, depcząc nieprzyjacielowi po piętach, zapędzili się w stępy. W grzywy końskie wpleli pierwsze kwiaty, a do ogonów przyczepili szerniałe od skrzepłej krwi złote i srebrne epolety.

Przełożył: IGNACY SZENFELD

ARTIOM WIESIOŁY ROSJA WE KRWI SKĄPANA



Fot. Archiwum

Po blaszanych dachach domów bebnily odlamki wybuchających wysoko pocisków. Krzywo wisiały stracone szylidy. Z okien sypały się odlamki szyb, rozpryskując się na chodnikach. Na jezdni pośród rozrzuconych kamieni sterczała skrecona w korkociąg szyna tramwajowa.

Z dworca po wszystkich ulicach wolnym krokiem ciągnęły wojska.

Z Dubinki i Pokrowki — przedmieść robotniczych — płynęła rzeka ludzka, jakby na wiec. Starzy i młodzi chwycili za broń. Nikt nieczego się nie bał: szli w zgodnym porywie, by zetrzeć się z nieprzyjaciół.

Z łoskotem toczyły się zaprzęgi artyleryjskie, wózki na resorach ze znakiem Czerwonego Krzyża i furgony wojskowe z oznaczonymi cyfrą proporcjami. Partyzanci — jedni w czapkach, drudzy w papachach, inni w słomkowych kapeluszach. Podarte kożuchy, płaszcze wojskowe z różnych okresów, gałgany i lachy. Na przodku amunicyjnym jechał artylerzysta w rozpiętym sobolowym futrze. Marynarz z przyczepionymi do bosych nóg ostrogami trząsł się do nie osiodłanym koniu, trzymając nad głową koronkową parasolkę.

cila się iza. Wmieszał się w szeregi i wyrównał swój krok ze wszystkimi.

Oficerku, oficerze,
Epolet twój biały,
Uciekajże ty z Kubania,
Póki jesteś cały...

W drzwiach pralni wdychała i bladłola starszka:

— Biedactwa, albo to oni nie mają ojców i matek? Na zagładę idą. Potężna dziewucha o zajęcej wardze odcigała ją na siłę.

— Idź stąd, ciotko Anno, diabeł lech tam przejrzy, nie wścibiaj swego nosa.

— Ja, córuchno, sama sierota, wiem, co to za życie bez ojca, bez matki... Trzydzieści latek, jak jeden dzień, przeżyłam w obowiązku u pulkownika Szabytkina, całe sterty bielizny przeparałam — pokazała starte do kości, spracowane dłonie — zgarbiłam się od pracy, wysuszyły mnie kłopoty, a jego kochanka Aglajuszka wygnana mnie na starość na cztery wiatry...

— Przystań, ciotko — nie ustępowała dziewczucha — slychać się nie chce, aż się słabo robi, idź stąd!
— Wygnana mnie, wygnana. A gdzie ja stara głowę skłonię, gdzie zarobię



Fot. Archiwum

Dokładnie czterdzieści lat temu, siódmego listopada 1934 roku, odbyła się premiera głośniego filmu Grzegorza i Sergiusza Wasiljewów „Czapajew”, realizowanego przez wytwórnię „Lenfilm” na podstawie powieści Dymitra Furmanowa (1891–1926). Film ten uważany jest przez historyków kina za „przełomowy, zwrotny punkt w dziejach radzieckiej kinematografii (Jerzy Toeplitz: Historia sztuki filmowej).

Opowieść o Wasylu Czapajewie (1887–1919), legendarnym dowódcy z okresu Rewolucji Październikowej i wojny domowej, znalazła w tym filmie nowatorski wyraz artystyczny. Podstawę filmu stanowił scenariusz, napisany przez Wasiljewów (zwanych „braćmi”, choć nie łączyło ich żadne pokrewieństwo rodzinne), którzy dokonali adaptacji książki Furmanowa z 1923 roku, a następnie film reżyserowali.

Prezentujemy poniżej fragment końcowy scenariusza w przekładzie Michała Machwica.

Noc nad osadą. Cisza. Żołnierze śpią. Spi Pietia. Spi Czapajew. Obok na krześle jego ubranie na wierzchu nagan.
Spi również Anna, mrużąc coś przez sen.

CZAPAJEW

Nie śpią tylko dwaj żołnierze na warcie, chociaż ich również sen morzy. Cisza w osadzie.

W lesie ciemno. Uderzenia kopyt końskich o ziemię. Jeźdźcy milczą. Jak w sennym majaczeniu, przesuwają się obrośnięte twarze krzepkich kozaków. Sześć opasytch koni ciągnie działo. Z tyłu, jakby zamykając pochód, ciężko pełznie samochód pancerny.

Znowu zalega cisza.
W mroku posuwa się naprzód kolumna białych.
Żołnierze śpią. Spi Anna, złożywszy z ufnością głowę na ramieniu Pietii.

Przy opłotkach przemknęły w mroku zgarbione postacie. Bezdźwięcznie, przylgnąwszy prawie do ziemi posuwają się w kierunku osady. Na przodzie zarysowują się sylwety wartowników.

Cienie zamarły na chwilę. Szarpnęły się naprzód...
Krótki jęk. I oto ciała dwóch wartowników widać się na ziemię.
Oficer włożył palce do ust i gwizdnął. Gwizd rozszedł się i zamarł.
Cienie stoją nieruchomo... Cisza. Słychać tylko uderzenia końskich kopyt o ziemię... Z mroku wylania się kilku jeźdźców.
Jeden z cieni podnosi się.

— Wszędzie cicho, panie pułkowniku!
Pułkownik zapalił zapalniczkę... Płomień rozjaśnił tarczę zegarka: 5-ta.
Borozdin machnął ręką. Z ostrym gwizdem wystrzeliła rakietka sygnalizacyjna.

Z hukiem i świstem pomknęli jeźdźcy naprzód. Potoczyli się ulicami osady, poblyskując obnażonymi szablami.
Rozległ się strzał... Drugi... Trzeci...

W samej białiznie, z karabinami w rękę wybiegają czerwoni z domów. Rzucają się, biegną jak opętani, padają pod ciosami szabel.

Czapajew zerwał się z łóżka. Daleko gdzieś zatrajkotał karabin maszynowy. Czapajew chwycił rewolwer i rzucił się ku drzwiom. Zerwał się na nogi zaspasany Pietia. Czapajew szarpnął drzwi. Krzyki, jęki i strzelanina rozdarły ciszę...

Pędzą czerwoni.
Pietia wypada z drzwi za Czapajewem.
Czapajew usiłuje zatrzymać biegnących:

— Stój!... Dokąd? Padnij!
Ludzie zatrzymują się. Otwierają ogień... Ale nowe zastępy uciekających roztrącają ich, przeszkadzają strzelać, na nowo szerzą panikę.
Dokola Czapajewa zgromadziło się jednak sporo żołnierzy. Nadbiega kilku zadyszanych dowódców: Siedow, szef sztabu, kilku komunistów. Usiłują zorganizować opór.

Kozacy okrażają ich pierścieniem. Siedow runął, trafiony kulą. Szef sztabu zachwiał się i upadł. Jeszcze kilku żołnierzy wali się na ziemię. Dwóch, trzech jedynie na nogach.

Do Czapajewa podbiega z tyłu Anna. Chwyta go za rękę i pokazując w głąb ulicy, krzyczy:
Do kaemów! Biegnijmy do kaemów!
Czapajew zrozumiał. Przeskakując przez poległych pędzą ulicą. Pietia biegnie za nimi.

Biali rzucają się z radosnym rykiem do drzwi sztabu.

Na podłodze w pustym pokoju kilka karabinów maszynowych, skrzynie z taśmami i nabojami. Wpada Czapajew, Anna i Pietia.
Czapajew z Pietią podciągają karabin do okna. Anna podaje nabitą taśmę. Czapajew przylgnął do karabinu.

Plac przed domem. Biegną czerwoni. Depczą im po piętach nacierają biali. Ostry terkot karabinu maszynowego.
Biali stanęli w zamieszaniu i rzucili się do ucieczki...
Znany nam chłop z wielką brodą pośpiesznie zagrzebuje się w siano na wozie.

Pietia zrywając głos, krzyczy w połowy telefon.
Nikt mu nie odpowiada.
— Przecież! Dranie!... — klnie zrozpaczony.
— Pietia, pędź z Anną do Sacharne!... do dowódcy brygady!
Pietia z Anną próbują oponować. Czapajew zwrócony do nich woła stanowczo:
— Biegnij! Już!
Anna z Pietią wybiegają.
Czapajew rzuca się do „Maksyma”.

Biali tyraliera zalegli plac. Cekaem Czapajewa nie pozwala im się podnieść, odpowiadają mu setkami strzałów. Czapajew strzela z zapalem.
Na podwórzu Pietia z Anną spierają się gorąco.
Pietia denerwuje się:
— Nie mogę go zostawić! Nie mogę! Ty sama pędź.
Anna milczy. Pietia popycha ją niemal przemocą do konia.
Wreszcie Anna ulega i wskakuje na siodło.
Pietia macha ręką:
— Zegnaj!
Anna znika na koniu za bramą.
Pietia biegnie do domu.

Czapajew ukrywszy się za tarczą, strzela z karabinu maszynowego. Suchy trzask, karabin milknie. Skończyła się taśma.
Czapajew zaklął, chce się obrócić, ale oto Pietia podaje mu nową.
Czapajew ze zdziwieniem spojrział na niego:
— Ty?
Pietia z zawstyżeniem:
— A ja!
Kule świszcząc przelatują im nad głowami.
Czapajew wyrwa taśmę z rąk Pietii.

Tyraliera białych podnosi się z ziemi! z triumfalnym wyciem rusza ku domowi. Z okna — ostry terkot cekaemu. Kilka postaci runęło na ziemię.
Tyraliera przywarła do ziemi.
Niespodziewanie w głębi ulicy rozlega się dziwne dudnienie. Pietia ostrożnie wyjrzał przez okno. Ku samemu domowi przysunął się turkocząc samochód pancerny.
Lufy dwóch karabinów maszynowych skierowały się w stronę okna... i zalały je strumieniem kul.

Czapajew chwycił się za rękę:
— Do diabła!
Pietia przyskoczył do niego. Na białej koszuli Czapajewa ukazują się ciemne plama.
Pietia odrywa jednym szarpnięciem rękaw swojej koszuli i bandażuje rękę Czapajewa.
Karabiny maszynowe z samochodu pancernego kruszą tynk w pokoju.
Pietia wyjrzał przez okno i klnąc wybiega.
Czapajew zgiąwszy się wpół strzela ze swego karabinu dalej.

Przy samym płocie stoi samochód pancerny.
Obydwa jego karabiny maszynowe zleją wściekłym ogniem. Nad płotem ukazują się rozcochrana głowa Pietii. Podnosi do góry rękę z granatem i wyrzeczywszy oczy, z przekleństwem rzuca go w wąską przeziernik wleży pancernej. Następuje wybuch. Z przeziernika samochodu ukazują się białe dymek...

Pancerka zamilkła.
Czapajew ze zdziwieniem wyjrzał przez okno.
Samochód pancerny dymi i milczy.
Ale biali wytoczyli już zza płotu działo polowe i ustawili na wprost domu.
Ciężko dysząc Pietia dopada okna. Wychyla się ostrożnie, po czym rozkłada bezradnie ręce.
— Nic z tego, Wasilu Iwanowiczu! Musimy się wycofać.
Czapajew chwieje się na nogach, ścierając ręką pot i krew ze skroni. Kręci uparcie głową i cedzi przez zęby:
— Czapaj... nigdy się jeszcze nie cofał!
Przerwał mu huk działa. W tej samej prawie chwili runął narożnik pokoju. Czapajew pada. Pietia w kłębach dymu i ognia chwyta oburącz Czapajewa i ciągnie ku wyjściu.

Czapaj ginie!... W Łbyszczesku biali!... — krzyczy Anna.
Dokola niej kilku dowódców. Jeden z nich trzyma za wodze splenionego konia Anna. Chwiejąc się na nogach ze zmezczenia Anna opada na ławkę. Dowódca brygady podaje jej troskliwie wodę w menażce. Anna chwyciła piję, oblewając wodą twarz i szyję.
Rozległ się sygnał alarmowy.
Żołnierze biegną uzbrojeni. Wyprowadzają konie. Ładują na wozy karabinowy maszynowe.
Cała ulica roi się od ludzi. Jeden za drugim opuszczają osadę konne szwadrony Czerwonej Armii. Pędzą cwałem w kierunku żołnierzy.

Na brzegu Uralu kłębowisko ludzi. Na falach rzeki widać postacie płynących na przeciwny brzeg.
Podtrzymując rannego Czapajewa Pietia pomaga mu zejść ostrożnie z urwiska.

Ziemia usuwa im się spod nóg.
Pietia, wyciągając siły, krzyczy:
— Czapajew ranął!...
Żołnierze rzucają się na pomoc otaczając Czapajewa kołem. Prowadzą go ostrożnie ku rzece.

Pietia cofając się osłania towarzyszy.
U samej wody. Czapajew zebrałszy siły, odepchnął żołnierzy.
— Płyńcie! Ja — sam...
I skoczył do wody.
Kilku ludzi rzuciło się za nim.
Pietia odwrócił się. Nad urwiskiem ukazali się biali...
Pietia chwytając karabin i dopada sterty kamieni. Obok niego kilku jeszcze żołnierzy. Strzelają. Pietia również strzela.
Biali rozwinęli tyraliere.
Kule biją o wodę dokoła Czapajewa.
Czapajew jest już zmęczony.
Żołnierz, który płył obok niego, usiłuje mu dopomóc.
Czapajew płynie, szeroko wosłując jedną ręką.
Pietia strzela. Towarzysze jego zaprzestali już ognia. Jedni polegli, inni rzucili się ku rzece.

Biali z urwiska strzelają do płynących.
Pietia szuka wzrokiem na wodzie Czapajewa.
Czapajew płynie...
Brzeg już jest blisko...
Pietia uśmiecha się radośnie...
Biali celują w Czapajewa.
Żołnierz, płynący obok niego, krzyknął... i zanurzył się w wodę...
Czapajew z wysiłkiem pracuje jedną ręką.
Pietia wystrzelił ostatnią kulę...
Czapajew wyteża ostatnie siły:
— Łesz!... Nie dam!...

Szczeknął pusty karabin. Pietia zerwał się z miejsca i rzucił ku rzece.
W tej samej chwili kilka kul przebija mu kark.
Pietia robi jeszcze jeden krok i pada przy samej wodzie.
Czapajew płynie...
Cekaemy białych sieką wodę kulami.
Pietia czyni rozpaczliwy wysiłek, podnosi się na łokciach i znów pada.
Siły opuszczają Czapajewa... Brzeg już blisko...
Kule padają dokoła Czapajewa.
Cekaemści białych zaciekają krąg kul wokół niego...
Twarz Czapajewa wznosi się nad wodą. Głowa szarpnęła się do góry...
I znikła w falach Uralu.
Ostatnie kule uderzyły o wodę.
Spokój spłynął na fale rzeki.

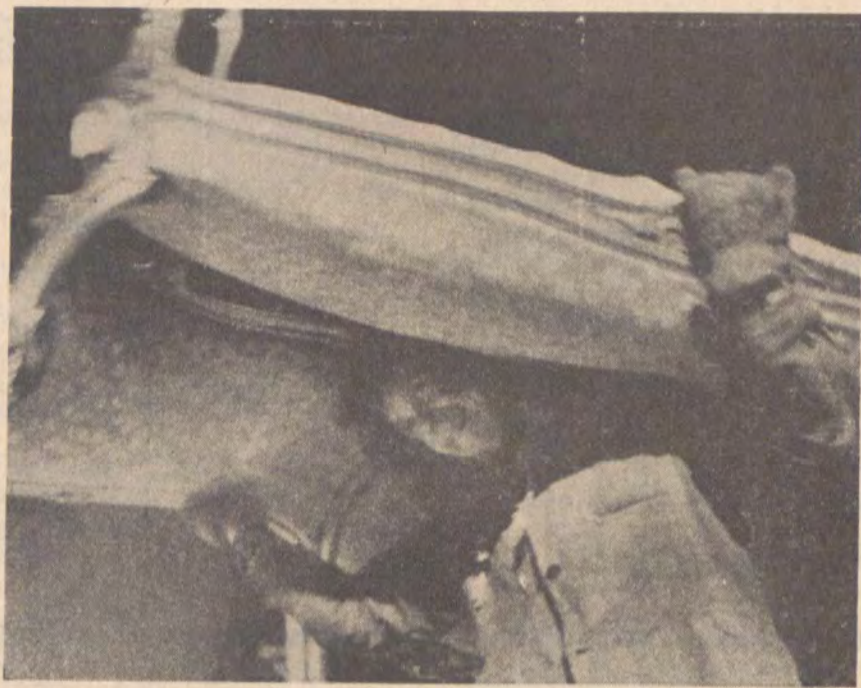
Dowódca brygady machnął szablą:
— Naprzód!
Szwadron runął rozwijając się w ruchu. Ruszyli szybko łęczanki z karabinami. Oddział zaatakował Łbyszczeski.

Białogwardziści w panicznej ucieczce...
Spod siano na wozie wychyla głowę chłop brodac... wpatruje się uważnie...
Borozdin odwiązuje konia od koła. Odwraca się słysząc szmer. Przed nim stoi brodac z obnażoną szablą w rękę. Borozdin sięga po rewolwer.
Ale brodac wysoko podniósł lśniąca szablę i zadał straszny cios. Pułkownik runął twarzą na ziemię.

Dowódca brygady znów machnął szablą:
— Ognia!
Huk dział rozdarł ciszę.
Za chwilę gdzieś daleko rozległy się wybuchy.
Położny słup wody wzbili się ponad taflą Uralu.
Resztki białogwardyjskiego oddziału przytuliły się w panicznym strachu do skraju urwiska.
Gwałtowny wybuch zmiata z powierzchni ziemi skulonych przy urwisku wrogów.
Wybuch wstrząsa powietrzem i białym dymem zaściela ekran.



WAŻNY JEST TEATR



Fot. Włodzimierz Parjys

TEATR

Teatr Jaracza jest najstarszym teatrem Łodzi. Wciśnięty między czynszowe kamienice, nie rzuca się w oczy, choć odrestaurowany fronton świadczy o dobrym smaku. Słowo — teatr — kojarzy się z pięknym foyer, wygodnymi fotelami, kryształowymi żyrandolami i gwarem publiczności oczekującej podniesienia kurtyny.

Dziś wejźmy jednak bramą gospodarza od ulicy Kilińskiego. Zobaczymy ludzi, których nie widać po odsłonięciu ozdobnej kurtyny, a która nie uniosłaby się nigdy, gdyby nie szare zaplecze. Teatr to fabryka, posiadająca wiele działów jak: malarnia, modelarnia, ślusarnia, farbiarnia, pralnia, pracownia szewska, krawieckie itp.

Wejźmy do pracowni malarskiej, której kierownikiem jest pan STEFAN POLANOWSKI. Przybył tu jako siedemnastoletni chłopiec i przepracował czterdzieści trzy lata w tym samym teatrze, niegdyś nazywanym „Teatrem Miejskim”. Jest człowiekiem teatru bez wątplenia i sam uważa się za takiego. Mówi:

— Przed wojną, kiedy tu przyszedłem, mistrzem moim był scenograf, który już od dawna poświęcił się wyłącznie malarstwu — znakomity Konstanty Mackiewicz. Nauczył mnie rzetelnej roboty. Praca, którą wykonuję, jest moją pasją, nie zamienilibym jej na żadną inną. Jestem odznaczony „Medalem X-lecia PRL”, Krzyżem Zasługi, a właśnie dzisiaj zostanie odznaczony „Medalem 30-lecia PRL” za długoletnią i wzorową pracę.

Pomieszczenie, w którym pracuje pan Polanowski, przypomina halę

fabryczną, ale jedynie kształtem i wielkością. Na ścianach bowiem wiszą obrazy, które grały lub będą grały w przeróżnych sztukach. Stoly zastawione najwymyślniejszymi przedmiotami, pedziami oraz farbami, których zapach unosi się w powietrzu, na podłodze leżą poukładane ściany. Będą malowane tak, by później nawet najbliższy siedzący widz uwierzył, że to marmur. Trudno byłoby obliczyć, ile kilometrów ścian (nie tylko na marmur) wymalował pan Polanowski w ciągu lat swej pracy.

Piętro wyżej mieści się pracownia szewska, w której króluje stosunkowo niedawno mistrz JÓZEF JANUSZKIEWICZ, zwany żartobliwie przez aktorów butologiem. Kto wie, może rzeczywiście teatralnemu szewcowi przysługiwałby jakiś dodatkowy tytuł. Trzeba nie lada kunsztu, by zrobić pantofelki dla Kopuszka i dla hiszpańskiej infantki, dla Napoleona lub rzymskiego patrycjusza. Skąd wiedział pan Józef, że jego miejsce jest właśnie w teatrze? Mówi:

— To był szczęśliwy przypadek. W tej chwili nie mogłbym pracować gdzie indziej. Żyłem się z teatrem. Czuję się zawsze współtwórcą przedstawienia.

Oczywiście! Jak by wyglądali aktorzy, grający boso dostojne damy i wspaniałych bohaterów. Chyba nawet wtedy najokrutniejszy, najkrwawszy dramat wypadłby nieco zabawnie.

Wyjźmy na podwórko pełne zakamarków, tajemniczych przejść, zawieszonych w tej chwili dziesiątkami metrów kolorowych tkanin. To mistrz farbiarski nie mieszczący się w swojej pracowni suszy je na powietrzu. Pracuje w teatrze od lat. Miał niejedną trudną orzech do zgryzienia. Wspomina profesora Daszewskiego, wspaniałego scenografa, który lubił

ubierać aktorów w kostiumy różniące się kolorystycznie zaledwie tonami od siebie, jak choćby w „Żywym trupie”, gdzie występowało co najmniej dwadzieścia odmian szarości, gdzie nawet biel musiała być szara.

A oto brygadziści maszynistów, WITOLD OBERG — również długoletni pracownik, poprzednio był pracownikiem umysłowym. Rzucił jednak wszystko i przyszedł do teatru. Zawsze wydawało mu się, że jego miejsce jest w teatrze. Dziś jest tego pewien. To praca, która wciąga i przyciąga, choć na pewno nie jest łatwa, wymaga skupienia i precyzji. Bywają sztuki, gdzie zmianę dekoracji trzeba zrobić w ciągu paru sekund, po ciemku. Zadaniem brygadiera jest zawsze — a wtedy w szczególności — rozdzielić umiejętnie pracę i bezbłędnie zorganizować. Każdy musi dokładnie wiedzieć, jaką część dekoracji ma przenieść, gdzie ustawić. Pracuje się w zasadzie cały dzień (z przerwami, oczywiście) do późnego wieczora, łącznie ze świętami, a w czasie prób generalnych często nocą. Mimo tego, a może właśnie dlatego, ludzie w teatrze tak bardzo się zrywają z sobą. Premiera jest dla wszystkich świętem. Sukces — dla wszystkich sukcesem. A klęska? Klęski nigdy nie ma, bo rzetelna praca jest zawsze triumfem, bez względu na to, jak zostanie przyjęta.

W tym momencie rozległo się z głośnika: „Proszę wszystkich kolegów na scenę”. To inspicjent, pani Irena Przybylska. Wszyscy na scenie — inspicjent ma chwilę oddechu. Właśnie wchodzi do bufetu. Dwadzieścia trzy lata w teatrze. — Kiedy nazywają mnie „kapo” — mówi z uśmiechem — ale nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie balaganu, jaki by powstał, gdyby nie było in-

spicjenta. Hamlet mógłby nie zdążyć zabić Poloniusza, bo wszedłby następny aktor ze swoją sceną, Romeo zdążyłby powiedzieć Julii, że ją kocha i... nikt nie wchodzi, więc — co dalej? Na przedstawieniu i na próbie wszystko musi grać. Punktualność obowiązuje absolutnie wszystkich, bez tego nie istnieje żaden teatr, ani dobry, ani zły. Inspicjent musi czuwać w ciągu całego przedstawienia, od podniesienia kurtyny do jej opadnięcia. Aktorzy mają swoje sceny, po odegraniu których mogą odpocząć, wyjść, ale sprawą inspicjenta jest, by wrócił na czas. Z chwilą premiery inspicjent zostaje gospodarzem przedstawienia — przejmuje je z rąk reżysera. Czas na mnie, muszę wracać na swoje stanowisko przy pulpicie.

Z kolej weszła suflerka, która ma właśnie chwilę przerwy, pani EWA IWINSKA, najmłodszy sufler z trójki w teatrze Jaracza, mimo że pracuje w tym zawodzie już dwanaście lat.

Praca jest trudna i często denerwująca, ale zdarzają się także chwile prawdziwego zadowolenia, a nieraz niezamierzonego humoru. Pamiętaj, kiedy w czasie spektaklu „Wesela”, aktor, grający Chochoła, musi w pewnym momencie pisać. Ja, jako sufler, nie mogę podpowiedzieć piana ani za niego pisać. Chwila konsternacji i cóż — pozostało mi tylko wyszeptać: Włodek pieję! Wprawdzie w teatrze współczesnym rola suflera nie jest tak uciążliwa, jak kiedyś, kiedy to „teatr stał na gardle suflera”, niemniej praca ta wymaga wysiłku podczas prób i koncentracji w czasie przedstawienia.

W teatrze nie ma ludzi nieważnych. Wszyscy pracują na spektakl. Każdy ma swój większy czy mniejszy, ale niezbędny udział. Ludzie teatru to ludzie przeważnie o jakiejś indywidualności, prawie zawsze obdarzeni

poczuciem humoru. Tworzą środowisko barwne i zróżnicowane. Wszyscy mają jedno wspólne: „Ważny jest teatr”. Może to właśnie jest powodem, że czują się tak bardzo z sobą związani, choć ludzie przychodzą i mijają, jak wszędzie, namięć o nich trwa. Niekiedy w lirycznym wspomnieniu, często w zabawnej anegdocie, jak choćby ta.

Wielki Leon Schiller reżyserował „Kraakowiaków i Górali”. Na ostatniej generalnej próbie, między wieloma innymi osobami, na widowni znajdowała się także pani Józia — pracownica teatralna, która zawsze przejmowała się bardzo każdą premierą, oceniała, czy sztuka będzie miała powodzenie, czy też nie. Leon Schiller w finale, kiedy już cały obryzm zespół był na scenie, zapytał: Pani Józio, jak się pani podoba? Józia spojrziała na morze białych bluzek i koszul i powiedziała: Ale będzie prania!

Dawne to czasy. Teatr jest starszy od tamtej chwili prawie trzydzieści lat. Wiele było różnych problemów i małych i wielkich. Wiele pozostało nadal i wiele wyłoniło się nowych, jak powiedział na zakończenie wicedyrektor ADAM KOMAN, pracujący w sumie dwadzieścia dziewięć lat, najpierw jako aktor, a od trzynastu lat także jako dyrektor do spraw administracyjnych. Problemem numer jeden jest brak młodego personelu technicznego. Składa się na to wiele czynników. Odstrasza nieograniczona ilość godzin pracy, a także praca w święta. Co prawda są wolne poniedziałki. Napięcie, nerwowość przedpremierowa powodują dużą płynność kadr personelu technicznego. Nie każdy zdąży pokonać bakcyli teatralnego — stąd trudności. Teatr może przyjąć natychmiast dużą liczbę pracowników technicznych. Obecnie ogółem zatrudnionych jest 190 osób. Z tego 22 aktorki, 36 aktorów, 70 pracowników technicznych i 29 administracyjnych.

W konkluzji dyrektor wyraził przekonanie, że regulacja płac przyniesie poprawę i będzie bodźcem dla młodych ludzi.

Ciekaw jestem, czy teraz, gdy usiądę na widowni jako widz, zobaczę obok Ofelii pana Józefa? Czy przy „Weselu” zawsze Ewę Iwińską? A króla na tronie postawionym przez pana Oberga?

ANDRZEJ SROCYŃSKI

KTO SIĘ BOI SŁAWOMIRA MROŻKA

W roku 1965 (data powstania i premiera „Tanga” S. Mrożka) pokolenie Artura miało dwadzieścia pięć lat, Artur byłby dzisiaj 34-letnim mężczyzną, żonatym, miałby dzieci, dom etc., etc. A przecież obecne dwudziestopięcioletki także burzą i także odbudowują i na pewno będą „konsumentami”. Jest to w końcu prawo cyklu.

Ale „Tango” Jana Maciejowskiego nie jest ani sztuką o pokoleniu Artura z 1965 roku, ani nie jest sztuką o Arturze, współczesnym młodym człowieku, studencie filozofii i medycyny. Nie jest nią dlatego, ponieważ „historyczny” Artur byłby dziś anachronizmem, a współczesny wymagałby odmiennej kompozycji niż to zaprezentował Jan Maciejowski, reżyser i Krzysztof Stroński, twórca roli Artura. Albowiem wydaje mi się, że niektóre prawdy tak żywe i nośne w 1965 roku dziś już zwiędziały i stały się historią. Okazało się, że w dawnym kształcie interpretacyjnym młody aktor zagubił się bez reszty.

Krzysztof Stroński jak gdyby do końca nie wiedział „co gra”, nie ustalił momentów istotnych w budowaniu roli. Nie zaistniała tu gradacja nastrojów, nie ma związków przyczynowo-skutkowych. Aktor nie

uciłł języka, którym przemawia do widza. Jest rozkojarzony prywatnie, zwłaszcza w trzecim akcie, który wymaga ustalonej tendencji operowania środkami wyrazu, operowania znakami czytelnymi i przejrzystymi. Kompozycja ruchu i gestu jest zburzona już w załączku. Głos ginie na poziomie krtań, jego walory emisyjne są nijakie, nie przekraczają kilku rzędów widowni. A przecież Krzysztof Stroński jest aktorem inteligentnym, świadomym swoich możliwości i środków, którymi operuje, być może zabrakło tu piaszczynny porozumienia między aktorem i reżyserem.

W rezultacie „Tango” w Teatrze im. Jaracza uległo przewartościowaniu. Nie jest bohaterem spektaklu ani Artur, ani Edek, jak to bywało w realizacjach w roku 1965. Jest nim natomiast Stomil (Jan Tesarz) i wuj Eugeniusz (Jerzy Przybylski).

Jan Tesarz za pomocą czysto zewnętrznych rysunku osiągnął niezmiernie ciekawy efekt. Mianowicie pozbawił Stomila pewnej dozy kabotynizmu, nadając mu jednocześnie znamiona indolencji intelektualnej. Te jego wyszukane i komponowane pozy, groteskowe fanfaronady i sloganofilstwo podane z absolutną powagą, to jego lenistwo o pozorach pracy

twórczej — uzyskane zostało poprzez zewnętrzne środki, jak gdyby szkicowo bez wypełnienia kolorem. Zamierzenie to uważam za interesujące i w efekcie celowe, ponieważ w ten sposób uzyskaliśmy pewną propozycję postawy wobec życia i otaczającego świata. Podkreśliłbym jeszcze jeden efekt, mianowicie uzyskanie „naiwnego nonkonformizmu” za pomocą dynamicznej ilustracyjności ruchu i gestu. Zławsza w scenach „protestu”.

Te same efekty, ale inną metodą twórczą — uzyskał Jerzy Przybylski. Budował swoją rolę jak gdyby w kontraście do Stomila. W zwolnionym rytmie, opóźnionej reakcji. Na początku, kiedy Eugeniusz akceptuje narzuconą sytuację, Jerzy Przybylski obdarza go groteskową refleksyjnością; potem w okresie „przewartościowania” wuj Eugeniusz Jerzego Przybylskiego staje się groźny swoją przebiegłością i bezwzględnością. To on jest głównym motorem „rewolucji” w mieszkaniu Stomilów. I kiedy wyraża zgodę na taniec z Edekim, Jerzy Przybylski nie robi tego jedynie ze strachu. Przyjmuje postawę programowo indolentną. Aktor wie,

że nie strach, a bierność jest najgroźniejsza, mieliśmy tego dowody w Europie lat trzydziestych.

Napisałem, że Edek nie jest bohaterem „Tanga” Jana Maciejowskiego i to z dwóch powodów. Po pierwsze, Artur nie może być w tej propozycji kontrpartnere, po drugie, Ireneusz Kaskiewicz poszedł w kierunku stereotypu. Żigolak, lokaj, bezkształtna masa aintelektualizmu. Zresztą ten stereotyp nie jest tylko czysto myślowym tworem, ponieważ podbudowuje go Ireneusz Kaskiewicz sumą rozwiązań ruchowo-gestywnych, półpartych manieryzmem groteskowo rozbudowanym. W scenie tańca z Eugeniuszem ma się wrażenie, że to nie Edek narzuca rytm La Couparsity.

Jeżeli w sposób dosłowny odczytny tytuł moich rozważań i skonfrontujemy tę dosłowność z przedstawieniem uzyskamy pewność, że lęk przed Sławomirem Mrożkiem ogarnął wszystkie Panie, które biorą udział w spektaklu. Zofia Wilczyńska jako Eugenia bojąc się groteski ucieka w rejon farsy, Alicja Zomer (Eleonora) znalazła schronienie w komedii, natomiast Wanda Grzechkowska (Ala) emanowała swoją młodością, brakiem doświadczenia aktorskiego i szczupłym zasobem środków wyrazu. Chciał komediowość Alicji Zomer frag-

mentarycznie posiadała elementy „przejaskrawień”, które świadczyły o poszukiwaniach twórczych propozycji w zakresie teatru groteski Sławomira Mrożka.

Ujmując metaforycznie tytuł „Kto się boi Sławomira Mrożka?” — najbliższą tej metafory jest scenografia Lucji Kossakowskiej. Stworzyła ona świat przedmiotów, które jednostkowo naturalne, w swojej rrasie i scenarii mieszczącego domiszczą osiągały wartość wynaturzoną.

Kiedy wychodzimy z widowni Teatru im. S. Jaracza rozbrzmiewa tango tańczone przez Edka i Eugeniusza, wychodzimy nie tylko z melodią, ale ogarnia nas ciemność foyer i ekrany, na których wyświetla się slajdy — duże głowy ucharakteryzowanych aktorów, Jerzego Przybylskiego i Ireneusza Kaskiewicza. Wobec tego pytamy się nawzajem „Kto się boi Sławomira Mrożka?”

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Sławomir Mrozek „Tango” utwór dramatyczny w trzech aktach, reżyseria: Jan Maciejowski, scenografia: Lucja Kossakowska, Teatr im. S. Jaracza, premiera 20 października 1974 r.

U PRZYJACIÓŁ

Od wielu lat Związek Radziecki cieszy się sławą największego wydawcy świata. Działają tu 250 wydawnictw, które posiadają prawie 4 tys. zakładów poligraficznych. Co minutę z maszyn drukarskich schodzi 3 do 4 tys. książek, a dzienna produkcja wynosi 4 do 5 mil. egzemplarzy. W latach władzy radzieckiej do rąk czytelników trafiło 2,5 mln tytułów w łącznym nakładzie 40 mld egzemplarzy. Obecnie w ZSRR wydaje się corocznie 17-krotnie więcej książek, 40-krotnie więcej czasopism i prawie 50-krotnie więcej dzienników — niż przed Rewolucją Październikową. Edytorstwo radzieckie ma wielonarodowy, internacjonalistyczny charakter, książki wydawane są w 145 językach, w tym w 89 językach narodów ZSRR, z których wiele przed Październikiem nie miało własnego piśmiennictwa.

Jeden z pierwszych dekretów młodej Republiki Radzieckiej dotyczył zabezpieczenia i rozszerzenia zbiorów bibliotecznych i umasowienia czytelnictwa. Konsekwentna polityka rozwijania sieci bibliotek i upowszechniania czytelnictwa postawiła Zw. Radziecki pod tym względem na czołowym miejscu w świecie. Obecnie w ZSRR działają 360 tys. bibliotek, które posiadają 3,3 miliarda woluminów, zaś liczba czytelników wynosi 180 milionów osób.

Biblioteki publiczne posiadają 130 tys. placówek i księgozbiór liczący ponad 1,460 mln woluminów tj. ok. 150 razy więcej niż w 1913 r. Bibliotek środowiskowych specjalistycznych, szkolnych i zakładowych jest ok. 360 tysięcy.

Do największych bibliotek w Kraju Rad należą Państwowa Biblioteka im. Lenina, im. Saliutkina — Szczedrina oraz zespół bibliotek Akademii Nauk ZSRR. (Biblioteka im. Lenina posiada księgozbiór liczący 27 mln egzemplarzy).

W ZSRR kinematografia ma wielonarodowy charakter: wszystkie republiki mają własne wytwórnie i kadry twórców filmowych. Filmy realizowane w poszczególnych republikach godnie reprezentują radziecką sztukę filmową na ekranach świata zdobywając międzynarodowe laury. Do takich dzieł należą m.in. gruziński film „Ojciec żołnierza”, litewski „Nikt nie chciał umierać”, ukraiński „Cienie zapomnianych przodków” i „Biały ptak z czarnym znamięm”.

W roku utworzenia Kraju Rad liczbą kin nie przekraczała tysiąca. Dziś sięga setek tysięcy.

W każdej republice Zw. Radzieckiego działają staly teatr zawodowy, w całym kraju jest ponad 500 przybytków Melpomeny. (Ok. 14 mln osób uczestniczy w amatorskim ruchu artystycznym). Najstarszym teatrem jest Teatr Mały w Moskwie.

Akademicki Teatr Mały obchodzi obecnie 150-lecie swego istnienia, wywodzi się z wędrownych trup aktorów. Od początku związany jest z ruchem wyzwolenym, z postępową myślą społeczną, zastąpił się w walce z samowładztwem. Dla podkreślenia jego roli nazywano go drugim moskiewskim uniwersytem. Po Rewolucji Październikowej Teatr Mały był pierwszą placówką otwartą dla ludzi pracy. Wystawiano tu sztuki Gorkiego, większość sztuk Ostrowskiego, najlepsze utwory radzieckiej i światowej literatury, wybitnych klasyków. Teatr Mały gości wielokrotnie za granicą, m.in. w Polsce, Czechosłowacji, Bułgarii, Rumunii, Francji. W roku jubileuszu wyjechał do Jugosławii i NRD. Za wybitne osiągnięcia artystyczne Akademicki Teatr Mały odznaczony został Orderem Lenina.

W ZSRR trwają obchody 70-rocznicy urodzin pisarza rewolucyjnego Mikołaja Ostrowskiego (1904-1936) którego powieści „Jak hartowała się stal” i „Zrodzeni z burzy” wywarły ogromny wpływ na wychowanie i kształtowanie patriotycznych postaw kilku pokoleń radzieckiej młodzieży. Książki Ostrowskiego wiele razy były adaptowane na scenę i ekran. Obecnie wyświetlany jest u nas serial telewizyjny wg powieści „Jak hartowała się stal”, a bohater tej powieści Paweł Koczeżnik od lat również jest bliskim polskiej młodzieży. O masowej percepcji książek Ostrowskiego świadczy fakt, że jego utwory wydawane są w 60 językach, a ich łączny nakład przekroczył 27 mln egzemplarzy. O powszechnej akceptacji jego postaci życiowej nieugiętego rewolucjonisty świadczy liczna placówka, instytucje, szkoły, ulice, drużyny pionierskie — nazwane jego imieniem.

Niedawno w stolicy Litwy ukazał się ostatni z 15 tomów wielkiej „Encyklopedii Litewskiej Sztuki Ludowej” — monografia pt. „Sztuka ludowa”. Poprzednie tomy poświęcone były dawnej architekturze i rzemiełstwu litewskiej, ceramice i innym gałęzom sztuki ludowej. Encyklopedia zawiera ok. ośmiu tysięcy reprodukcji.

Zdobyte naukowe i kulturalne w Związku Radzieckim są dostępne dla wszystkich, możliwości zdobycia wiedzy — nieograniczone. W prasie zagranicznej coraz częściej ukazują się artykuły wskazujące na ten niezaprzeczalny rys życia ludzi radzieckich. Ogrom kulturalnych osiągnięć ZSRR jest treścią reportażu znanego francuskiego pisarza André Remacle'a, zamieszczonego na łamach gazety „La Marseillaise”.

1.

Nareszcie Moskwa! Spełniło się nasze marzenie. Na spotkanie wychodzi nam miasto, jego nie kończą się aleje i ulice tonące w zieleni. Zdumiewający konglomerat stylów architektonicznych: budownictwo starożytności z XVI i XVII wieku, drapacze wieżowe gotyckimi iglicami i najnowocześniejsze zespoły budownictwa żelbetowego. Jak okiem sięgnąć — wszędzie dźwigi budowlane.

Rosyjskie nazwy brzmią jak muzyka: Kreml, Krasnaja Ploszczadz, Biblioteka im. Lenina, Sadowoje Kalco, Arbat, Balszoi Teatr. I koryfeusz rosyjskiej kultury w marmurze i brązie: Gorki, Czajkowski, Lermontow, Majakowski, Ostrowski, Puszkina. W pstrym tłumie na ulicach wiele młodych ludzi, są pogodni i zaafierowani.

— Co chcielibyście zobaczyć, co poznać — pytają nas radziecy przyjaciele.

Interesowały nas przede wszystkim problemy kultury. I właśnie o nich rozmawialiśmy przez te całe dwa tygodnie — ludzie radziecy lubią dyskusię i prowadzą je po mistrzowsku.

Japoński książek Konoe powiedział tak: „Kultura narodu jest zwierciadłem, w którym odbijają się wiedza i oryginalne tradycje. Mówiąc krócej — jest to klucz do poznania narodu”. I dostaliśmy ten klucz!

Mam przed sobą małą książeczkę w czerwonej oprawie, która z każdym dniem stawała się dla mnie bardziej dokumentem, niż książką. Jest to nowe wydanie znakomitego utworu Majakowskiego „Rozmowa z towarzyszem Leninem”. W maleńkim wydaniu zebrano przekłady poematu w 32 językach, od niemieckiego do wietnamskiego, koreańskiego, francuskiego, arabskiego. Utwór ukazał się staraniem wydawnictwa „Młoda Gwardia”, jest adresowany do młodzieży i służy rozwojowi młodych talentów.

— A jak się u was odkrywa talenty, albo inaczej — jak w Związku Radzieckim można zostać pisarzem? — pytam.

Odpowiadają mi: — Otrzymujemy ogromne ilości rękopisów. Niekiedy trafiają się „rybki”, niekiedy „duża ryba”. Cudów nie ma, ale kiedy pojawia się prawdziwy pisarz, staramy się nie tracić go z oczu. Z drugiej strony wydawnictwo „Młodej Gwardii” organizuje spotkania i seminaria dla młodych pisarzy. W przyjacielskiej dyskusji często dojrzewa talent młodego pisarza. Nie każdego z nich od razu ogłaszają drukiem, ale zachęcają ich do pracy, pomagają im.

2.

Na Zachodzie wciąż jeszcze panuje fałszywe pojęcie, jakoby Związek Radziecki był krajem „szczerze zamkniętym”, do którego nie przenikają żadne dźwięki „z zewnątrz”. Ogromna ilość zagranicznych turystów, których spotyka się tutaj wszędzie, jest najlepszym argumentem obalającym podobne opinie. Jeszcze innego argumentu dostarczała lamy miesięcznika „Inostrannaja Literatur”, którego nakład wzrósł już do 540 tys. egzemplarzy, lecz wciąż jeszcze daleki jest od zaspokojenia popytu. Publikuje on przekłady utworów amerykańskich, angielskich, francuskich, włoskich, niemieckich, skandynawskich, pisarzy japońskich, autorów

W Związku Radzieckim szczególnie lubią Francuzów. Dla ludzi radzieckich Francja jest uosobieniem tradycji rewolucyjnych 1789 roku i Komuny Paryskiej. W ZSRR jest dobrze znana francuska literatura i nie tylko jej giganci, jak Balzac, Stendhal, Hugo. Co więcej, współczesnych pisarzy francuskich wydajemy u nas w o wiele większych nakładach, niż wydaje się ich w ich własnej ojczyźnie. Kontakty kulturalne są instrumentem walki o pokój i dlatego trzeba stwarzać warunki dla lepszego wzajemnego poznania się.

Nikt się nie ośmiela stawiać w wątpliwość znakomitej techniki!

4.

"ZŁOTO KULTURY" NA WŁASNĄ MIARĘ

afrykańskich i latynoamerykańskich, prawie ze 150 krajów świata.

Zastępca redaktora naczelnego miesięcznika mówi:

— Wielu radzieckich specjalistów z dziedziny literatury zagranicznej czyta wszystkie periodyki świata i zwraca naszą uwagę na takie lub inne materiały. Spotykamy się z wieloma zagranicznymi pisarzami, przyjeżdżającymi do Związku Radzieckiego.

Błysnęła mi myśl, że w końcu jest to pismo specjalistów, przeznaczone dla specjalistów, tj. dla literatów. Pytam o to tego rozmówcę.

— Nie — słyszę w odpowiedzi. — Oczywiście podstawową masę naszych czytelników stanowią inteligencja i studenci, ale czytują nas również robotnicy i mamy od nich wiele listów. Rok temu urządziliśmy konferencję czytelników u marynarzy Floty Bałtyckiej.

3.

„Literaturna Gazeta”, wydawana przez Związek Pisarzy Radzieckich, prowadzi systematyczne badania socjologiczne. Biorą w nich udział pisarze, dziennikarze, specjaliści, a także czytelnicy. Badania te wywiary i wywierają nadal, duży wpływ na ważne decyzje w kraju.

— Czy po powrocie do Francji napisze pan o naszym kraju? spytał mnie jeden z redaktorów gazety.

— Tak, ale mam obawy przed napisaniem uproszczeń.

— Znamy Francję lepiej, niż pan zna Związek Radziecki. Bardzo niedawno w serii „Plejada” opublikowano pełny zbiór utworów Puszkina. A. Puszkina, nawiasem mówiąc, znał na pamięć Racine'a i Corneille'a. Ale trzeba czasu, żeby Francja nauczyła się lubić Puszkina.

wirtuozerii radzieckich baletów, ale ten i ów z usmiechem znawcy dodaje: „Szkoda, że oni się nie rozwijają, że przeżył swój wiek... itd. Byłem na czterech spektaklach baletowych w Leningradzie i Odessie. Przed wszystkim pozostał mi w pamięci północnoosetyński zespół z jego tradycyjnymi numerami: tańcem ognia i tańcem z szablami, leningradzka trupa baletowa, choreograficzne miniaturowe balety Leonida Jakobsona i młodzieżowy balet z Kazachstanu.

Trzeba powiedzieć, że znakomitej technice radzieckiej tańce i towarzyszący im śmiech poszukiwania nowych środków wyrazu. Publiczność, doskonale zorientowana w tym rodzaju sztuki, wita te poszukiwania z wielkim uznaniem. W Odessie zgłosiła ona owoce młodym solistom z Kazachstanu (środkowoazjatyckiej republiki, nieomal całkowicie niepisemiennej 60 lat temu), którzy wykonali tańce do muzyki Manuela de Falla i Gershwina, a także stworzyli własną, bardzo oryginalną interpretację postaci bohaterów w suicie Szczedrina „Carmen”. Natomiast ta sama publiczność bez specjalnego entuzjazmu przyjęła „Umierającego la-biedzia” Saint-Saens'a. Artystyczny sukces odniósł leningradzki balet w „Świecie wiosny”, gdzie choreograf doskonale oddał charakter utworu Igora Strawinskiego.

Żądza wiedzy ludzi radzieckich przejawia się we wszystkim. Do Moskwy przyjechalimy równocześnie z „Glocondą”. Czteryście — pięćset osób usadowiło się przed muzeum na składowych stółkach i spędziło tam noc, żeby się tylko dostać na otwarcie wystawy. Zostali nagrodzeni: wrota muzeum otwarto dla nich przed oznaczoną godziną i entuzjastki sztuki mogli podziwiać obraz 45 sekund zamiast 19, które, chcąc nie chcąc ustalono z uwagi na ogromne tłumy żądne ujrzania słynne-

go uśmiechu Monny Lisy di Giocondo...

W Leningradzie, zniszczonym przez Niemców podczas 900 dni blokady miasta i odbudowanym w dawnym kształcie, wszędzie różnokolorowe tłumy młodzieży szkolnej i dorosłych, którzy przyjechali tutaj z różnych stron kraju, grupy zagranicznych turystów. Sale Ermitażu, jednego z najznakomitszych muzeów świata zapełnione.

3.

Po Leningradzie była Odessa. Nazwa tego miasta jest mi doskonale znana. Marynarze wiele opowiadali mi o Morzu Czarnym i odesskim porcie. Hotel, w którym zatrzymaliśmy się, mieścił się na Bulwarze Przymorskim. Nasi przyjaciele z Odesskiego Oddziału Związku Pisarzy okazali nam szczególną uwagę — wszak w tym hotelu zatrzymywał się Henri Barbusse. A w sali Domu Pisarzy plakorzeźba autora „Ognia” wisi naprzeciwko portretu Puszkina, który napisał tutaj większą część „Eugeniusza Oniegina”.

Dom Pisarzy, zburzony w latach wojny, był pierwszym budynkiem Odessy odbudowanym po wypędzeniu okupanta. Spotkaliśmy się tutaj z grupą prozaików i poetów. Jurij Usyzenko kocha morze, głównym motywem jego twórczości jest myśl, że morze nie powinno ludzi dzielić, lecz łączyć. Pisze po rosyjsku. Po ukraińsku pisze Anatolij Kolesniczenko, przedstawiciel bardzo młodego pokolenia. Stanisław Strielnikow — poeta ukraiński, z wykształcenia inżynier. Witaj! Bereznickij — poeta, filmowiec, autor scenariuszy i widowisk telewizyjnych. I wreszcie Iwan Riadzenko, który poszedł na front wprost z ławy szkolnej, walcząc początkowo jako szeregowiec, później jako oficer, był kilkakrotnie ranny. Jest poetą morza, wiele podróżował.

Odessa jest wielkim ośrodkiem kulturalnym. Odczuwałem to nie tylko podczas spotkań z przedstawicielami inteligencji. Wielu interesujących rzeczy dowiedziałem się, będąc w Czarnomorskim Zarządzie Żeglugi Morskiej. Nawet znajdując się na pełnym morzu, marynarze mogą zamawiać bilety do teatrów i na koncerty. Biblioteka Domu Kultury Marynarza liczy 22 tysiące tomów. Każdy statek ma własną bibliotekę i obowiązujące minimum tysięcy książek, nie licząc literatury technicznej i podręczników szkolnych. Księgozbiór uzupełnia się przed każdym wyjściem w rejs. Zakupu nowych książek dokonuje się z dotacji państwowych.

Marynarze mogą kontynuować naukę podczas przebywania na morzu. Na przykład na „Kolchidzie”, 18 marynarzy spośród 99 członków załogi, kontynuuje naukę lub przygotowuje się do egzaminów do szkoły średniej czy wyższych uczelni. Na każdy statek Zarząd Żeglugi kieruje nauczyciela.

Mógłbym wymienić imponujące liczby, powiedzieć, ile w ZSRR jest pałaców kultury, ale byłoby to sucha arytmetyka, a „złoto kultury” ma własną miarę. Kultura i nauka są dostępne dla wszystkich — mężczyzn i kobiet. Stwarza to szerokie horyzonty wszystkim radzieckim ludziom. Prawdziwa a nie pozorna, pozwala na doskonałość wiedzy bez względu na wiek.

Tłum. JERZY CZECH

■ DYPLOMACJA NA WIELKĄ SKALĘ

■ Dyskusja nad Cyprem

■ Decyzje szczytu w Rabacie

Informacje agencyjne o tym, że rychło, bo w dniach 23-24 listopada, spotkają się w okolicach Władystowa sekretarz generalny KC PZPR — L. Breżniew i prezydent USA — G. Ford wzbudziły zrozumiałe zainteresowanie. Będzie to czwarte radziecko-amerykańskie spotkanie na szczycie, lecz pierwsze z udziałem Forda. W odróżnieniu od poprzednich nie będzie ono miało charakteru oficjalnej wizyty, a tylko roboczego dialogu. Nie pomniejsza to jednak jego znaczenia. Odwrotnie, jeśli coroczny rytm spotkań okazał się w danym wypadku zbyt długi i skraca się go władzom obustronnie, to oznacza, że jest potrzebny dialog. Wynika ona nie tylko z faktu zmiany na prezydenckim fotelu w USA.

Porozumienia radziecko-amerykańskie odegrały już znaczącą rolę w procesie odprężenia międzynarodowego. Wystarczy ogarnąć myślą ponad trzyletni okres bezpośrednich kontaktów przywódców ZSRR i USA i zmiany, jakie w tym czasie się dokonały w świecie, aby zrozumieć, że dialog ten daleko wykracza swoim znaczeniem poza stosunki dwustronne. W ub. tygodniu pisaliśmy o rozmowach Kissingera w Moskwie i tematach,

jakie były podejmowane. Nie wszystkie z złożonych spraw zostały rozstrzygnięte, niektóre przygotowano do rozmów na szczycie. To właśnie określa rangę zapowiadzanego spotkania w trzeciej dekadzie listopada.

Stosunki radziecko-amerykańskie rozwijają się zgodnie ze wspólnie ustalonym kursem i zmiana w Białym Domu nie wpłynęła na ich pohamowanie. Taki jest oczywisty wniosek, płynący z rozmów Kissingera w stolicy ZSRR i uzgodnionego terminu spotkania we Władystowie.

Ostatnie miesiące bieżącego roku i pierwsze przyszłego wypełnią także inne ważne spotkania. Zapowiedziano przecież wizytę L. Breżniewa w Paryżu i Kairze, G. Forda — w Japonii oraz jego spotkanie z V. Giscard d'Estaingiem na Martynice... Nie przetoż dziwnego, że pisze się w prasie światowej o rozpoczęciu rundy „dyplomacji na wielką skalę”, która z uwagi na swój zasięg będzie jednym z niewielu przedsięwzięć tego rodzaju w okresie powojennym. Nie musimy dodawać, że przy obecnym stanie stosunków międzynarodowych oczekujemy po tych rozmowach pomyślnych wiadomości.

Serwisy informacyjne z ub. tygod.

nia przyniosły wiele ciekawych depesz. Zatrzymajmy uwagę Czytelników jeszcze na niektórych z nich.

Oto na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ toczy się dyskusja nad kwestią cypryjską. Zaprezentowali swe, zupełnie odmienne, zdania przedstawiciele Grecji i Turcji, głos w tej ważnej dla pokoju sprawie zabrali także reprezentanci Związku Radzieckiego i Polski.

Podstawę trwałego politycznego rozwiązania kryzysu może stanowić lipcowa decyzja Rady Bezpieczeństwa. Nie jest ona jednak wykonywana i tym bardziej dlatego konieczne jest zwołanie międzynarodowej konferencji, proponowanej przez ZSRR. Zgromadzenie Ogólne — naszym zdaniem — powinno potępić wszelkie formy obecnej interwencji na Cyprze, domagać się wycofania obcych wojsk i pełnej realizacji postanowień Rady Bezpieczeństwa. Opowiadamy się zdecydowanie przeciwko wszelkim próbom podziału terytorialnego wyspy. Jest sprawą samych Cypryjczyków ukształtowanie wewnętrznej struktury politycznej kraju. Obowiązkiem wszystkich państw wobec innych jest bezwarunkowe poszanowanie suwerenności, niepodległości oraz terytorialnej integralności.

We Włoszech — już ponad miesiąc — trwa kryzys rządowy. Jak pisałmy, Fanfani nie wypełnił swej misji utworzenia nowego rządu i obecnie kandydatem na premiera jest Aldo Moro, trzykrotnie już premier rządów centrolewicowych i dotych-

czasowy minister Spraw Zagranicznych. Zdaniem rzymskich kół politycznych, jest to w obecnej sytuacji najlepsza kandydatura, dająca szansę, że najtrudniejszy z kryzysów gabinetowych zostanie przerwany, czy jednak zwiastuje to stabilizację rządów? Takiej oceny nie daje nikt. Sytuacja Włoch, o czym wszyscy wiemy, jest szczególnie złożona gospodarczo i politycznie. Wyjście z impasu może prowadzić tylko przez gruntowniejsze reformy.

Za najważniejsze decyzje słodmej arabskiej konferencji na szczycie uważać trzeba: uchwalenie pomocy finansowej dla krajów, będących w bezpośrednim konflikcie z Izraelem, a w tym dla Organizacji Wyzwolenia Palestyny, utworzenie wspólnego cennego irotonnego dowództwa frontu anty-izraelskiego oraz przedyskutowanie przygotowań do wznowienia konferencji genezyjskiej, poświęconej Bliskiemu Wschodowi.

„Niekoronowanym królem” szczytu nazywają komentatorzy Arafata — przywódcę OWP, którego rzecznik zapowiedział rychłe utworzenie emigracyjnego rządu, ponieważ decyzje spotkania przywódców świata arabskiego oznaczają, iż OWP stanie się jednocześnie najwyższą władzą przyszłego państwa palestyńskiego.

Wybraliśmy z serwisu tygodnia tylko kilka doniesień. Starczy z pewnością, aby wykazać, że życie polityczne toczy się warko...

W. SŁAWSKI

„I'm POLISH”

— Spotkałem polskie dziecko. W New Yorku, Przypadkiem. W parku.

Podeszło, żeby godzinę sprawdzić na moim zegarku. Lat miało sześć — może siedem.

I oczy, jak dwa bławatki. Chłopiec z linianymi włosami, W obęściu miły i gładki.

Słownie uśmiechnął się do mnie, stuknął z fantazją obcasem: „My name is Peter!” — powiedział i dodał, jakby nawiasem: „I'm Polish!” specjalnie wybit, podkreślił ostatnie słowo.

Polak? Więc mówimy po polsku!... Miledząco zaprzeczył głową: A potem spuścił oczy, wykręcił się na pięcie

I poszedł. Raz jeszcze z dala obejrzał się na zakręcie I zniknął. A mnie na sercu zrobiło się nagle smutno.

Tak jakoś przytkro i dziwnie... Poczułem żalność okrutną... Widocznie człowiek do szpiku przesiąkł tą polską naturą

I głupi polski sentyment wciąż gdzieś tam nosi pod skórą... Coś, co uciska na serce... Coś przez co zlawia się oczy... Wrócił chłopiec i przeraźliwie dziwny bieg moich myśli.

Usiadł przy mnie na ławce... Wiatr nad głową nam szumił... Opo: iadać zacząłem o Krakowie, o Wiśle.

A on słuchał z przejęciem chociaż słów nie rozumiał... I przesiedział tak ze mną długo — prawie do zmroku... Wstałem z ławki i rzekłem: „Czas już iść, panie Piotrze!”

A on dojrzał widocznie głupią lżę w moim oku: „Nie placz — szepnął — i dodał: „Ja bym Polak!...” i odszedł:

To fragment wiersza pt. „Polskie dziecko” napisanego przed osiemnastu laty przez Ref-Rena z Chicago. Smutny to wiersz, ale prawdziwy. Najmłodsze pokolenie polonijne w Stanach Zjednoczonych szybko się zamerykanizowało, przejmując język, zwyczaje i styl życia, który ich otacza. Jaki jest ich stosunek do kraju rodziców, jak liczna jest obecnie Polonia w Stanach? Na te pytania starałem się znaleźć odpowiedź w czasie mego 6-tygodniowego pobytu na drugiej półkuli.

65 ulica East Nr 15. Samo serce Nowego Jorku, Katedra św. Patryka z białego marmuru i tuż naprzeciw piękny renesansowy pałac liczący sobie ponad sto lat. Pięknie harmonizują z sobą te dwie budowle, a jednocześnie wyglądają dziwnie zagubione wśród wspaniałych drapaczy chmur ze szkła i stali — siedzib banków i koncernów, które wyrosły wzdłuż 5 Avenue tej

znalazłem kawałek wolnego miejsca. Wszędzie setki książek, broszur, czasopism.

— Przepraszam za ten bałagan, ale to wszystko musi szybko trafić do naszych odbiorców, a jest ich tysiące — powiedział po prostu. — Ciesze się, że pan mnie tu znalazł, będąc w kraju udzieliłem kilkanaście wywiadów dla prasy, radia i telewizji. To dobrze, bowiem przez wiele lat zarówno kontakty kulturalne między Stanami Zjednoczonymi a Polską, jak i informacja o osiągnięciach Polski w ciągu ostatnich prawie już 30 lat pozostawały wiele do życzenia. Ostatnio wiele się zmieniło na lepsze. W dalszym ciągu jednak brak dobrych publikacji o Polsce w języku angielskim. Tu nie chodzi tylko o Polonię, która sama żywo interesuje się przemianami następującymi w kraju, ma kontakty poprzez rodziny, coraz częściej odwiedzając kraj. Osiągnięcia Polski, jej siłę i najnowsza kultura musimy pokazać Amerykanom. A naprawdę — jest co pokazać.

Dr Kusielewicz pokazuje mi świeży pachnący jeszcze farba drukarską miesięcznik „The Kosciuszko Foundation” — wydawany w języku angielskim. Jest to już kolejny 274 numer. W nakładzie kilkudziesięciu tysięcy, wysyłany jest stałym prenumeratom — Amerykanom ludziom nauki, kultury, sztuki, kupcom, właścicielom przedsiębiorstw. Fundacja jest instytucją utrzymującą się wyłącznie z prywatnych dotacji, dobrowolnych wpłat, zapisów, spadków itp. Obecnie liczy ponad 3 tysiące dobrowolnych fundatorów.

W ciągu prawie 50 lat swego istnienia, dzięki stypendiom, umozliwiła tysiącom młodych Amerykanów pochodzenia polskiego, ukończenie wyższych studiów na uczelniach USA bądź w kraju ojczystym. Zajmuje się też działalnością wydawniczą, propagowaniem polskiej kultury i sztuki w najszerzym tego słowa znaczeniu. Jest instytucją cieszącą się szacunkiem nie tylko wśród Polonii, ale również w administracji stanowej i federalnej Stanów Zjednoczonych. W tym samym dniu, w którym odwiedziłem Fundację, dr Kusielewicz odbył konferencję z przedstawicielami departamentu stanu — do spraw kultury. Fundacja przedstawiła raport o polonijnej tematyce filmów wyświetlanych w ki-

nach i telewizji amerykańskiej. Raport podkreśla złośliwość i tendencyjność niektórych wytworów. Wśród kilkudziesięciu tytułów 95 proc. przedstawia Polaków w negatywnym świetle, a zaledwie 5 proc. pozytywnie. Raport został przedstawiony odpowiedniej komisji Kongresu.

— Jak liczna jest Polonia w Stanach? — Dr Kusielewicz rozkłada ręce. — Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Wg moich szacunków liczba Amerykanów polskiego pochodzenia sięga 15 milionów — mówi.

— Nie wszyscy przyznają się do swego pochodzenia. Inni naukowcy ostrożniejsi szacują tę liczbę na 5—7 milionów. Przyjmujemy, że w zwartych polskich osiedlach w Nowym Jorku i okolicy, w Buffalo, Chicago i Detroit język polski na co dzień używa około 3,5 miliona osób. Faktem jest, że w kraju, w którym nie ma obowiązków meldunkowych, ani nigdzie rubryki narodowości, nie sposób mieć tego rodzaju dane statystyczne. Różne też mogą być kryteria oceny. Czy można jeszcze uważać za Polaków ludzi, których dziadkowie przybyli do Stanów przed kilkudziesięciami laty, a którzy nie znają języka przodków, zmienili swe nazwiska i nie utrzymują kontaktów z licznymi i sprawnie działającymi organizacjami polonijnymi? Zdawac się się muszę, że ci Amerykanie wnikowicie polskich chłopów spod Rzeszowa, Podhala czy Mazowsza nie już wspólnego z Polską nie mają. Tak było jeszcze przed dziesięciami laty.

Ostatnio jednak zaobserwować można bardzo interesujące przemiany. Ci młodzi obywatele amerykańscy, z których większość studiują lub ma ukończone wyższe studia, inżynierowie, lekarze, pracownicy administracji państwowej, właściciele małych i dużych przedsiębiorstw, zaczęli interesować się krajem, z którego przybyli ich rodzice. Po prostu to jest teraz modne w Stanach Zjednoczonych, które przygotowały się do wielkiej uroczystości w 1976 r. — 200-lecia proklamowania niepodległości. Socjologowie amerykańscy nie ukrywają swego zdziwienia z faktu, że w ciągu tych prawie 200 lat ten wielki tygiel narodów nie pomógł w żaden sposób wszystkim obywateli w jeden naród mający wyłącznie amerykańskie cechy. Do niedawna obywatele Stanów Zje-

dnoczonych, z pochodzenie angielski lub Irlandzcy, wyraźnie odinali się od współobywateli, których przodkowie przybyli z południowej lub wschodniej Europy, na każdym kroku podkreślając wyższość kulturalną macierzystych krajów. O tyle to zrozumiałe, że imigranci z Hiszpanii, Włoch czy Polski to byli ludzie ciężko dorabiający się przez całe życie. Ten okres mi-

kańczył i murzyński proletariar. W czasie pobytu w Nowym Jorku i miastach — satelitach tego

giganta, spotkałem wielu Amerykanów polskiego pochodzenia, nie znających języka polskiego, nie utrzymujących kontaktów z



Fot. A. Bienkowski

organizacjami polonijnymi, a jednak świadomych swego pochodzenia i nie ukrywających zadobowienia z faktu, że coraz częściej słyszą o nauce i kulturze polskiej.

Niewątpliwym wpływ miały na to ostatnie wydarzenia. Obchody 1000-lecia Państwa Polskiego i Rok Kopernikowski oraz niezwykłe aktywne polityka zagraniczna naszego rządu. Olbrzymie znaczenie miała oficjalna wizyta I sekretarza KC PZPR — Edwarda Gierka i jego wystąpienie na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ.

Te wizyta szeroko komentowana jest przez liczące się w opinii społecznej największe dzienniki i stacje telewizyjne.

Obchody Roku Kopernikowskiego dały z kolei asumpt do rozświetlenia nauki polskiej. Odsłonięte zostały dwa pomniki w Chicago i Detroit. Prezydent Stanów Zjednoczonych ogłosił deklarację o obchodach 500 rocznicy urodzin tego wielkiego polskiego astronoma. W ślad za tym poszła deklaracja gubernatorów 26 stanów ustanawiających w różnych terminach Tydzień i Dzień Kopernika.

Na obchody takiego tygodnia trafiałem w Ulica 100-tysięcznym mieście w stanie Nowy Jork z czego 30 tys. to Polacy. Na ratuszu obok flagi gwiazdźstę powiewała biało-czerwona.

W największej sali liczącej ponad 1200 miejsc odbywała się uroczysta akademii, polączona z koncertem. Sala wypełniona do ostatniego miejsca. Wśród obecnych mayor miasta wraz z całą radą miejską oraz gość honorowy pani dr Jaylee Mead astronom — naukowiec, absolwentka Uniwersytetu w North — Carolina. Jest członkiem Rady Naukowej NASA, współtwórcą amerykańskiego sztucznego satelity. Wygłosiła piękne przemówienie, a gdy mówi, o tym, że owego kosmicznego satelity nazwano imieniem Kopernik na cześć wielkiego polskiego astronoma, zerwała się burza oklasków.

W ciągu tygodnia odbyło się kilka spotkań z młodzieżą, defilada ulicami miasta organizacją polonijnych w narodowych strojach, a na zakończenie wielki bal przy dźwiękach polskiej orkiestry pod dyrykcją Teda Marksymowicza. W centrum miasta w wystawach magazynów i sklepów zobaczyć można było okolicznościowe plakaty wydane z okazji Roku Kopernika i biało-czerwone flagi.

Jak mi przepadł p. Frank Szczęśniak prezes polskich kombatanów w Ulica, a jednocześnie główny organizator imprez, była to najlepsza propaganda nauki polskiej wśród społeczeństwa amerykańskiego. Zamknięto buzię dość licznej tutaj grupie Niemców, którzy w kontrolowanej przez siebie prasie, starali się udowodnić, że Copernicus aus Thorn to... Reichsdeutsch.

ADAM BIENKOWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Wstyd się przyznać, zdenerwowałem się. I to zdenerwowałem się publicznie, na spotkaniu redakcji „Odgłosów” z łódzkimi studentami. Nie jest dobrze, gdy człowiek da się ponieść nerwom, ale... Gdy mi facet spod budki z piwem powie: „Panie, piszesz pan, bo panu placą” — nie zdenerwuję się. Jest to — głupi, bo głupi — stereotyp ewidentnie inteligentna. Ale, gdy mi w podobnym tonie młody przedstawiciel młodej elity intelektualnej, ogarnia mnie przerażenie na myśl o jego miłośności umysłowej.

A tu mi przedstawiciel owej elity mówi: „Pisze jakiś Widok, nie znam człowieka, nie wiem, kto to jest, co nie obchodzi poeci, którzy pisali przez cztery wieki o Warszawie? A pan piszesz, bo pewno musisz pan pisać...”

Tak jest. Muszę. To jest mój zawód, za wykonywanie którego mi placą. Tak jak Panu — Młody Poeta — placą za to, że się Pan uczy. Tak jak Pańskim

rodzicom placą za wykonywaną przez nich pracę... Tak jest nierzadko świat — myślę, że wcale nie głupi.

A że pod pseudonimem? Jeśli trafi Pan kiedyś do biblioteki, niech pan poprosi o dwutomowe dzieło Jana Józefa Lipskiego: „Warszawscy „Puścielnicy” i „Bywalscy”. Jest to antologia polskiej (wcale nie warszawskiej, wbrew pozorom) felietonistyki na przestrzeni lat 1818—1939. Ponad sto lat polskiego dziennikarstwa.

Może Pan nie czytać, bo pewno Pana nie zainteresuje, ale niech Pan spojrzy w spis rzeczy. Począwszy od roku 1818 felietoniści podpisywali się pseudonimami. Taka jest po prostu tradycja polskiego (i nie tylko polskiego) dziennikarstwa. Tak było i tak jest.

Stąd w „Odgłosach” Cwiek, Rodak, Widok... Stąd w „Kulturze” Hamilton i KTT (który jeszcze w „Nowej Kulturze” podpisywał się KAT)... Stąd w

„Kulisach” Jerzy Kibic, w „Polityce” Bywalec, w „Szpilkach” FZK i Jerwit...

Tak się już utarło i przez ponad sto lat nikt nie protestował. Pan jest pierwszy — może rzeczywiście jest Pan nowatorem? A może po prostu brak Panu tych paru książek, których Pan nie zdążył przeczytać.

Zresztą, mniejsza o to. Mówił Pan dalej: „Co to w ogóle jest? Co mnie obchodzi jakieś opowiadania Czarnego i jakieś wiersze Biskupskiego? — ja tu nie mam co czytać...”

Mówił Pan dalej, że nie ma Pan także ochoty czytać w „Odgłosach” o Tomaszu Mani, bo jeśli przyjdzie Panu na to ochota, to sięgnie raczej do esejów Mieczysława Jastruna. Mocny to argument. Mieczysław Jastrun niestety nie pisuje w „Odgłosach”, ale niech Pan na moment zostawi — nie zrozumiałe dla mnie — zacierzenie i rozsądnie pomyśli. Rozumując w Pana sposób na-

leżałoby zawiesić na kolku wszelką działalność. Przestać odczytywać na nowo klasykę, przestać pisać, malować, komponować. Przestać myśleć.

Rozumując tym torem należałoby przyjąć, że po Penderemkim nie powstanie już żadna wybitna muzyka, że po wierszach Rafała Wojacka nikt już nie spisze w sposób równie dramatyczny swojej biografii, że... Jak wobec tego widzi Pan w ramach tego poglądu swoje miejsce w poezji, w sztuce?

Powiedział Pan również, że wysłał Pan swoje wiersze do „Odgłosów” i że Panu nie odpowiedziano, a Stanisław Barańczak z „Nurtu” odpowiedział i nawet obiecał wydrukować. Oczywiście ten fakt braku odpowiedzi z „Odgłosów” nie ma zapewne żadnego związku z Pana opinią o tekstach drukowanych na naszych łamach. Nawet mi to do głowy nie przyszło...

WIDOK

ODPOWIEDŹ MŁODEMU POECIE

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



LEWYM OKIEM

NON OMNIS...

Od dawna już ze szczególnym sentymentalnym zaangażowaniem przeżywam dwa dni naszego polskiego roku, nie spotykane w takim napięciu i takim uroczystym sztafażu nigdzie na świecie poza Polską: wigilię i Święto Zmarłych. To są dni zakorzenione w bardzo pięknym obyczaju, mniejsza już o to jakiej proveniencji i nieraz miałem okazję obserwować cudzoziemców z jak zachłannym, żywciliwym i nie wolnym od zazdrości zainteresowaniem próbowali uczestniczyć w nastrojach ogarniających nas w owe dni.

Dzień Pamięci o Zmarłych tylko co właśnie minął i znów — jak to się w ostatnich latach rzuca w oczy — przed wiejskie cmentarzyki zajeżdżały sznury eleganckich samochodów. Synowie i wnuki z najdalszych miast przyjeżdżają do gniazd, z których wyszli, ja wiem — przyjeżdżają nieraz po to, aby zaktuć w oczy tym właśnie samochodem, tymi plastycznymi cackami porzuconymi niechcący na tylnym siedzeniu, tą żoną w różowej peruce lub mężem —

na odurót — w dżinsach i w swetrze. Cmentarze, po których brodziło się po pas w oszalałym wonnym ziele, pomiędzy drewnianymi krzyżkami bez żadnych napisów, gdzie przysiadło się na skromnej ławeczce pod rozbuchaną kwiecistą akacją na długie chwile pięknego, dostojnego, jakże dziś rzadko osiąganego spokoju, gdzie brzęczały pszczoły i goniły się nieczłowiecznie motyle — cytrynki, zamieniły się w pretensjonalne aż do niestrawności lapidaria, galerie aniołków, strząskanych kolumn, marmurów złotymi napisami zdobnych. Gdzie by tam śmiały kwitnąć skromne a śliczne groszki, koperki, ulanki, gdzie by tam szukać wysokich na dwa metry mazowieckich świetczników: dziewanny... Zamiast nich cmentarze zakwitają teraz tysiącami róż, hortensji, kalii i goździków, buketami astrów, srebrem „mrozów”. Tutaj widać wyraźniej niż w jakimkolwiek in-

nym terenie, jak wzrosła zażość kraju aż po jego najgłębsze, najdalej zakątki, a także — jak naiwnie i nie zawsze w najlepszym guście pragniemy tę możliwość manifestować. Ale to nie, bo istota rzeczy pozostała piękna i wzruszająca: ludzie w tym kraju naprawdę, z najlepszej potrzeby czują się częścią wielkiego pochodu pokoleń, czują się solidarni ze swymi zmarłymi, przyznają się do nich, do tego, że są dalszym ciągiem i ogniwem, po którym nastąpi nowy dalszy ciąg. Tamci wszyscy są ciągle wśród nas, istnieją — choć to inna forma istnienia: w naszej pamięci. To brzmi jak frazes, a przecież tak jest naprawdę.

Obzędry i ceremoniały związane ze śmiercią bywały i nadal bywają makabryczne, chociaż zawsze na ich dnie było dążenie żywych do oddania jak największej czci zmarłemu, czym zapewne żywi dodawali sobie otuchy na swój własny

ostateczny czas. Zwłoki Aleksandra Wielkiego — podobnie jak cesarza rzymskiego Justyniana — po usunięciu wewnętrzności pochowano w kamiennych pudłach wypełnionych miodem. Fryderyka Barbarosę gotowano wiele godzin, aby oczyszczone w ten sposób kości wysłać do dalekiej ojczyzny i tam je pogrzebać. Praktyki podobne, chociaż zagrożone ekskomunikacją przez papieża Bonifacego VIII, powtarzały się przez całe stulecia. Jeśli wyobraźnia nowoczesnego człowieka wzdryga się przed takimi obrazami, to przecież jednocześnie nie godzimy się, nie możemy się zgodzić na to, żeby człowieka po śmierci po prostu — nie pogrzebać, tylko najbardziej bezszmerowo. Obzędry, ceremoniał, uroczystość — odczuwamy nadal jako absolutną potrzebę serca i wyobraźni.

Taką samą potrzebą jest danie zewnętrznego wyrazu na-

szej o zmarłym pamięci; sama pamięć, samo nasze najintymniejsze przeżywanie wspomnień nie wystarczy. Niech tam sobie w różnych kregach tak zwanej cywilizacji, na różnych szczeblach tak zwanego postępu, różni niezmierne trzęsł i wyprani z możliwości odczuwania czegoś kolwiek poza dotykem, węchem, słuchem i wzrokiem hurra-począpoczą, oschle a coraz sprawniejsze komputery czelokształtne, niech tam — powiadam — „wyzwalają się” z „irrationalnych rudymenów” psychiki. My spotykamy się jak najdłużej w ten jeden pogański, smutny, polski, piękny dzień z naszymi matkami, dziadkami, pradziadkami, braćmi, palmy im świeczki i świadczymy jak umiemy, żeśmy tu na ziemi nie od wczoraj, nie z przypadku, nie — jak przypędzony nie wiadomo skąd — strzęp pajęczyny.

CWIEK



NOTKI

Jeśli nie ma się pojęcia o autorze książki, to przed rozpoczęciem lektury czyta się najpierw notę od wydawcy.

Carlo Emilio Gadda — Pożar na ulicy Keplera, przełożyła H. Kralowa, PIW, Warszawa — 1974, str. 254, cena: 30, — z.

Książki muszą być znakomite skoro wydawca ze śmiertelną powagą raczy nas włoskim tytułami i nie mamy prawa wydawcy nie wierzyć.

Carlo Emilio Gadda — Pożar na ulicy Keplera, przełożyła H. Kralowa, PIW, Warszawa — 1974, str. 254, cena: 30, — z.

BIELANKA W XX WIEKU

Pochwała życia wiejskiego wśród bujnej i pięknej przyrody nie jest w historii literatury niczym nowym.

Jan Otcenasek — czechski pisarz, autor między innymi sfilmowanej powieści „Romeo, Julia i mrok” — proponuje coś zupełnie innego.

Jan Otcenasek — Gdy w raju padał deszcz, przełożyła E. Witwicka, PIW, Warszawa 1974, str. 300, cena: 25, — z.

„CZWARTKI PANI JULII”

„Czwartki pani Julii” to pierwsza powieść włoskiego prozaika — Piero Chiara — przetłumaczona na język polski.

„Czwartki pani Julii” to powieść o wątku kryminalnym, osadzona we wnikliwie popatrzonych realiach obyczajowych.

Nie będziemy odpowiadać na pytanie, gdzie pani Julia spędzała swoje czwartki i co z tego wynika.

Piero Chiara — Czwartki pani Julii, przełożyła T. Jekiel, PIW, Warszawa 1974, str. 93, cena: 12, — z.

MORSKA WOJNA

W kwietniu 1943 roku Admiralicja Wielkiej Brytanii zawiadomiła jedno z polskich towarzystw okrętowych o zaginięciu S/s „Zagłoba”.

30 lat minie niedługo od momentu zakończenia drugiej wojny światowej. Z perspektywy tych 30 lat patrzymy na zmagania ludzkości przeciw faszyzmowi.

Marian Bielski zastrzeża się we wstępie, że „dzieje statku „Wisłoba” są w naszym stopniu historią S/s „Zagłoba”.

W wojnie morskiej, jaka toczyła się między innymi i na Atlantyku, uczestniczyli nie tylko marynarze flot wojennych.

O wojennych zmaganiach polskiej floty handlowej wiemy dość mało, bo i były to zmagania znużone, mało efektywne.

Szkoda jednak, że dramatyczne losy polskich marynarzy rozgrywały się w licznych watach ubocznych, dość schematycznych.

Marian Bielski — Na linii życia i śmierci, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk — 1974, str. 316, cena: 28, — z.

KSIĄŻKA

TRUDNA

SZTUKA PROPAGANDY

Pojęcie „PROPAGANDA” miało swego czasu zabarwienie ujemne, graniczące niekiedy z pojęciem kłamstwa.

Działalność propagandowa zdobyła sobie dziś zaufanie społeczeństwa, a powszechna troska stała się jej skuteczną.

Rodzące się obecnie zainteresowanie skutecznością propagandy jest wynikiem nabierającego przyspieszenia tempa życia w kraju.

W uchwale VI Zjazdu PZPR wiele miejsca poświęcono zadaniom propagandy, konkretyzując je w odniesieniu do działalności organizacji partyjnych.

W tej sytuacji najważniejsza stała się świadomość

Je się jednak nie sama działalność propagandowa, ale jej efektywność. A to — jak to pisał we wstępie do „Zarysu psychologii propagandy”.

Odpowiedzią na rosnące zainteresowanie się sprawami propagandy jest działalność wydawnicza, w tym głównie „Książki i Wiedzy”.

Rosnące tempo rozwoju kraju, ambitne zadania gospodarcze i społeczne, jakie mamy zrealizować w tej i przyszłych dekadach.

kapitałistycznych, a to — głównie — dla zrozumienia istoty propagandy działającej w oparciu o wroga nam ideologicznie.

Propaganda zawsze oparta jest na określonych założeniach ideologicznych i służy konkretnym celom politycznym.

Rozumiemy propagandę polityczną — pisze Michał Szulczewski w książce „Informacja — element pokojowego współistnienia” — jako historycznie określony sposób wpływania na życie publiczne.

„Zarys psychologii propagandy” Lesława Wojtasika jest swoistą próbą teoretycznej refleksji nad funkcjonowaniem propagandy w warunkach socjalistycznego społeczeństwa.

„Współczesna propaganda — pisze Lesław Wojtasik — jest złożonym i wielowarstwowym kompleksem zagadnień, których nie sposób objąć w jednym opracowaniu”.

„W grudniu 1969 roku odbyła się radziecko-bułgarska konferencja naukowa na temat: „Naukowe podstawy propagandy”.

W. I. Lenin określił, że podstawowymi cechami propagandy w społeczeństwie socjalistycznym są: naukowość, partyjność, prawdziwość i konkretność.

„Informacja — propaganda — opinia publiczna” powinna zainteresować nie tylko działaczy partyjnych, zajmujących się propagandą, ale również dziennikarzy, gdyż wiele z publikowanych w tej książce prac dotyczy bezpośrednio spraw związanych z funkcjonowaniem prasy, radia i telewizji.

„Informacja — propaganda — opinia publiczna” powinna zainteresować nie tylko działaczy partyjnych, zajmujących się propagandą, ale również dziennikarzy, gdyż wiele z publikowanych w tej książce prac dotyczy bezpośrednio spraw związanych z funkcjonowaniem prasy, radia i telewizji.

„Nowoczesna załoga — nowoczesny ośrodek propagandy” — publikowane w tej książce reportaże są wynikiem konkursu ogłoszonego przez „Trybunę Ludu” i „Książki i Wiedzy”.

„Współczesna załoga — nowoczesny ośrodek propagandy” — publikowane w tej książce reportaże są wynikiem konkursu ogłoszonego przez „Trybunę Ludu” i „Książki i Wiedzy”.

„Współczesna załoga — nowoczesny ośrodek propagandy” — publikowane w tej książce reportaże są wynikiem konkursu ogłoszonego przez „Trybunę Ludu” i „Książki i Wiedzy”.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Lesław Wojtasik — Zarys psychologii propagandy, PWN, Warszawa — 1974, str. 338, cena: 25, — „Informacja — propaganda — opinia publiczna” — Książki i Wiedzy, Warszawa — 1974, str. 292, cena: 25, —

FILM

MATKI I SYN

W propozycjach tegorocznych Dni Filmu Radzieckiego największe zainteresowanie wzbudził zapewne film „ZAPAMIĘTAJ IMIĘ SVOJE”.

Wraz z filmem Kolosowa wchodzi na nasze ekrany inny radziecki film o podobnej tematyce — „Szukam człowieka”.

Jego pobytu w Polsce ukazała się w prasie wiadomość, że polski inżynier dwadzieścia lat po wojnie odnalazł swą matkę Rosjankę, z którą rozdzielono go w 1943 roku w Oświęcimiu.

Tragizm tej opowieści jest tak wstrząsający, że jakkolwiek zracjonalizowana analiza filmu Kolosowa staje się prawie niemożliwa.

świadomość przerażającej prawdy, które one niosą, można by uczynić twórców zarzut, że operowanie tą skalą ekspresji jest drogą najłatwiejszego wyboru.

„O ile jednak wojenna część filmu przyjęta być musi z pełną pokorą i zgodą na jej przekraczającą chwilami psychiczną wytrzymałość ekspresji, o tyle część współczesna każe zgłosić już bardziej zracjonalizowane zarzuty.

Na drodze do tego spotkania Siergiej Kolosow potrafił zre-

alizować jednak wiele pięknych, własnie psychologicznych scen, ukazujących matkę. Okazał się natomiast zupełnie bezradny w rysunku syna.

Z ogromną pomocą przysłała reżyserowi Ryszarda Hanin, której talent potrafił w epizodycznej w końcu roli polskiej matki stworzyć kreację absolutnie pełną.

EWA NURCZYŃSKA

HORACY SAFRIN

FRASZKI TEATRALNE

ANATOMIA SPEKTAKLU

Autór, stawiając sobie najwyższe wymogi, chciał, by utwór sceniczny miał ręce i nogi, kręgosłup ideowy oraz język gładki...
Potem przyszedł reżyser, poprawił dialogi, no, i spektakl położył na obie łopatki.

NA PEWIEN TEATR EN MINIATURE

Teatr mieści się w małej, kameralnej sali. Mała scena. Niestety i artyści ma li.

JERZY HOFFMAN, POGROMCA SZWEDÓW

Nowym filmem zadziwił artystyczny światek; reżyser, jak reżyser — ale co za strateg!

SCENOGRAF W SPÓDNICY

O niej wyraził się dyrektor N.:
„Wybitny talent w urzędowaniu scen”.

W TEATRZE AMATORSKIM

Pewien widz młodociany ze zdziwioną miną spostrzegł buty aktorów pod krótką kurtyną. „Ależ teatr nasz urósł! — pomyślał wyrostek. — Proszę: nawet kurtyna sięga mu do kostek...”

NA RECYTATORA „WIELKIEJ IMPROWIZACJI”

Stał na estradzie. Głos jego senny kaleczył wiersze, w pół je przcinał. Nie był to Konrad w celi więziennej, był to po prostu — k r y m i a l.

NAGROBEK KABOTYNA

Choć lowelas na scenie, a i poza sceną, poniósł fiasko sromotne w filircie z Melpomeną.

Wszystko zaczęło się od tego, że wyruszyłem na grzyby z parasolem. Siąpił jesienny kapuśniaczek, a ponieważ znane powiedzenie utrzymuje, że grzyby rosną po deszczu — postanowiłem w lesie deszcz przeczekać i zebrać potem odpowiednie grzybowe plony.

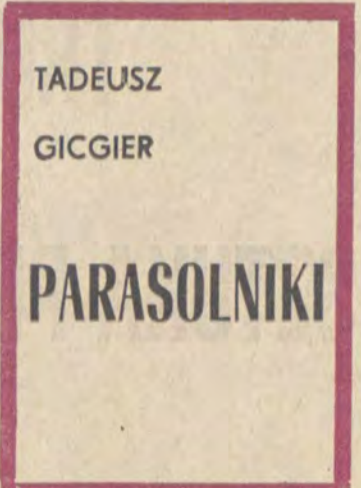
Parasol był solidny, tak zwanej starej daty. Rozpiąłem go i zacząłem wędrować po brzeziniaku, poprutykany dębczakami. To podobno wymiarzone otoczenie dla prawdziwków. Otoczenie istotnie było piękne, jednak prawdziwki wyraźnie go nie doceniały: żaden z nich nie skorzystał z okazji wyrosnięcia w tak sprzyjających warunkach.

Dalej był młodniak świerkowy, wymiarzone otoczenie dla maślaków. Wcisnąłem się z parasolem między świerczki i aż przykucałem z wrażenia: u moich nóg rosła cała kolonia grzybów. Zamknąłem parasol, zatknąłem go szpiculem w ziemię i zacząłem ścinać maślaki. Zabieg ten powtarzałem wiele razy. Na którymś kilometrze spostrzegłem, że nie mam parasola. Pozostał gdzieś zatknięty pod drzewem.

Wróciłem, jak mi się wydawało, tą samą drogą. Jednakże w lesie droga jest pojęciem względny. Wyszędłem na skraj świerkowego młodniaka

i zacząłem rozważać, czy powadzić poszukiwania dalej.

Byłem mocno przywiązany do parasola, czego nie da się powiedzieć o jego stosunku do mnie. Niewdzięcznik. Tak łatwo rozstał się ze mną. A ja nawet nie mogę go ukarać. Za-



wróciłem do lasu, postanowiłem przemyśleć go jeszcze raz, teraz postępując kregami. Trafiałem na jakiś dukt leśny, którego przedtem nie było. Spłoszyłem sarnę, która uknęła pokazując mi talerz — białą-kremową plamę na zadzie.

Trafiałem na świeże babrzysko dzikie — grąskie, czarne, zryte szablami. Tylko tego brakowało, pomyślałem, że bym się zniknął z dzikiem. Jestem bez broń, ba, nawet bez parasola. Wycofałem się pośpiesznie z lasu.

W jakiś czas później reporter miejscowej gazety donosił co następuje:

„Rewelacja! W naszych lasach pojawił się nowy gatunek grzybów! Wyglądem przypominają one małe parasole. Dotychczas nie stwierdzono, czy są to grzyby jadalne. Jedni naukowcy twierdzą, że tak, a drudzy, że wręcz przeciwnie. W tej sytuacji radzimy chwytliwym wstrzymać się z ich konsumowaniem, to znaczy grzybów. Ogłaszamy błyskawiczny konkurs na nazwę dla nich!”

Notatka była zilustrowana kilkakrotnie większym od niej zdjęciem. Ku swemu zdumieniu rozpoznałem na zdjęciu swój parasol, otoczony kolonią małych parasolików. Postanowiłem wziąć udział w błyskawicznym konkursie. Dla nowego gatunku grzybów zaproponowałem nazwę „Parasolniki”. Konkurs wygrałem i w nagrodę otrzymałem z redakcji wielki kosz dorodnych parasolników. Niestety, nie było wśród nich mojego starego, solidnego parasola.

DOBRA NOWINA

Coraz więcej uwagi poświęca się w programie TV problemom, interesującym nie tylko estety, czy pięknoducha ale również tzw. „szarego widza”. Obecnie trwają wyteżone prace literackie nad scenariuszem serialu, który ukaże w sposób prosty i bez przesady dzieje kawałka serka tyłczyckiego, od momentu zakupienia go przez konsumenta.

EKSPERYMENT ZA WSZELKĄ CENĘ

Ciekawy eksperyment pedagogiczny wprowadzono w kuratorium okręgu Płaskiego. Młodzież szkolna zamiast oglądać polskie filmy historyczne — uczy się o historii na lekcjach historii ale to się nie przyjmuje.

PASKUDNE MANIERY PRZYCYNĄ TRAGEDII

Odszedł z naszych szeregów reżyser hr. Swollau-Cosma. Zmarły skutecznie targnął się na swe życie przy pomocy lokaja. Reżyser hr. Swollau-Cosma propagował w niestrudzonego sposobie dobre maniere w życiu codziennym, poświęcając temu zagadnieniu cały cykl własnych filmów szkoleniowych. Bezpośrednim sprawcą tragedii jest nieidentyfikowany osobnik, który po obejrzeniu całego cyklu puścił baka.

SYMPATYCZNA PRZYGODA W RZYMIE

Nasi turyści przebywający w ramach „Orbisu” w Rzymie przeżyli niedawno sympatyczną przygodę. Do ich autokaru podszedł reż. Fellini, grzechnie po-

POWIĘKSZENIA | Czy wiecie, że...

PO PROSTU BULECZKA

„Głos Robotniczy”:
„Klub Dziennikarza” w Łodzi (...) zaprasza na monodram wg „Konopielki” E. Redzińskiego, w wyk. BULECZKI — aktora Piwli pod Baranami. (...)”
„Dziennik Łódzki”:
„Dziś w Klubie Dziennikarza (...) Jerzy Kopcewski — popularny aktor „Pawli pod Baranami” zwanym Buleczką, zaprezentuje monodram oparty na „Konopielce” — Edwarda Redzińskiego”.
Zawsze uważaliśmy, że nie należy poprzestawać na lekturze jednej gazety, bo gdybyśmy nie czytali również „DL”, to byśmy nie wiedzieli, że BULECZKA — to po prostu Jerzy Kopcewski.

ROZMOWA NA PUZON I PERKUSJE

„Dziennik Łódzki” donosi w korespondencji własnej pt. „Co się w Gruzji podobą?”:
„Kontakty towarzyskie nawiązują się niezwykle szybko, zwłaszcza za muzyką, muzykami grającymi na tych samych instrumentach (...) a indywidualne wymiany doświadczeń trwają do późnej nocy”.
Nam szczególnie podobalaby się rozmowa na dwie perkusje. Bomba!

ELA I SALOMON

W „Ziemie Leżycyckiej” Wasza Ela radzi Czytelnikom:
„... dziś właśnie o (...) wólczkowych szalach (...) robi się dość słownie z nieczego”.
A mówiło się, że pan Salomon z pustego nie naleje.

PAN RADWAN NAM POKAŻE!

Pan Radwan z pisma „ITD” niedawno napisał parę słów na temat naszych uwag o metodach i formach polemiki stosowanych przez pana Radwana.
Pan Radwan ma nam za złe, że broniąc tekściarzy przed atakiem „ITD”, nie nie piszemy o tym, że teksty Jana Gwoźdźcia są nie-dobre. Otóż nie piszemy, bo nas ta sprawa aktualnie nie interesuje. Może są dobre, może niedobre — jednym się pewno podobają, innym nie. Niedobre są natomiast takie metody polemiki, przy pomocy których obrzuca się przeciwnika epitetami. I o to nam tylko chodziło.
A że Jan Gwoźdźc mieszką w Łodzi, Pana Radwana dziwnie ta sprawa intrzyga, nam jest to obojętne, bowiem nam chodzi o fakt, a nie o adresy.
Taktowny pan Radwan napisał na koniec, że w naszej notatce Jan Gwoźdźc miał swój „osobisty udział”. Rety, jakież to elegancje! A nie można było napisać, że po prostu Jan Gwoźdźc w dwóch osobach wręczył nam stosowną lapówkę (najlepiej w dewizach), abyśmy bronili jego interesów?
„Osobisty udział” to zaletywie szereżenka insynuacyjka, a przecież można było stekierka przez łeb. Zresztą, nic straconego, Pan Radwan nam jeszcze pokaże!

KTO ODPOWIADA?

Czytelnicy pytają nas, kto jest odpowiedzialny za wyświetlanie w TV filmów, które potem red. Janusz Wilhelm określa jako szkodliwe, niedobre, niewydarzone i niesłuszne.
Odpowiadamy: odpowiada za to dyr. generalny TV, Janusz Wilhelm. W „Zielu Literackim” Zbigniew Kwiatkowski tak napisał o naszych krytycznych Wilhelmie (przy okazji filmu „Broda”):
„Nawet jeśli tym bardziej zadziwiająca, że Wilhelm zaakceptował film jako zagalenie dyskusji nad istotnym problemem szkoły”.
Otóż to!

Technika pneumatyczna, która pomagała astronautom w badaniach Księżycu, pozwala ludziom sparaliżowanym chodzić po ziemi. Odbywa się to w ten sposób, że osoba dotknięta paraliżem ubierana jest w specjalne spodnie posiadające wszystkie wokół nogawek nylonowe „dętki”, które po napełnieniu powietrzem stają się dostatecznie twarde dla utrzymania chorego w pozycji pionowej a także dla umożliwienia mu chodzenia o kulach. Aby móc usiąść, chorego wypuszcza powietrze przez specjalne zawory. Lekarze mają nadzieję, że zawory te wkrótce okażą się niepotrzebne, gdyż planuje się wyposażenie pneumatycznych spodni w „stawy” — w kolanach i biodrach.

Pewna Irlandka, matka czteroletniego Alana, zaobserwowała niezwykle fakt, który został następnie uznany za ważne odkrycie naukowe. W czasie kąpienia swego malca stwierdziła ona, że dwa palce u jego ręki są gładkie, podczas gdy skóra na pozostałych trzech palcach jest pomarszczona, jak to zwykle bywa gdy dużej mocy się ręce w wodzie. Jakikś czas przedtem Alan upadł, kłęcząc palce o szkło butelki. Skaleczenie miało poważne, gdyż chłopiec miał przecięte ścięgna i nerwy. Po pewnym czasie, gdy skaleczone palce zaczęły się goić, matka chłopca zauważyła, że skóra na nich także zaczyna się marszczyć podczas kąpieli.

Zaintrygowana zaobserwowanym zjawiskiem, poinformowała o tym chirurga, który operował jej synka. Po przeprowadzonych badaniach kontrolnych w jednym ze szpitali w Dublinie okazało się, że skóra z uszkodzonymi nerwami rzeczywiście pozostaje gładka i nie marszczy się w ciepłej wodzie. Na tej podstawie opracowano bardzo prosty test, który pozwala w obiektywny sposób stwierdzić utratę czucia a także stopniowo jego odzyskiwanie. Test polega po prostu na zanurzeniu chorej części ciała w ciepłej wodzie na przeciąg trzydziestu minut.

Jest rzeczą dość znaną, że alkoholicy często cierpią na różne dolegliwości wątroby. Do niedawna, wśród niektórych lekarzy utrzymywało się mniemanie, że może to być wynikiem tego, iż wielu pijących alkohol spożywa zbyt mało pokarmów. Najnowsze badania przeprowadzone w Stanach Zjednoczonych jednoznacznie zaprzeczają tym poglądom. Badania przeprowadzono na pawianach, których wątroba jest bardzo podobna do ludzkiej.

Spśród 26 pawianów trzynastkę utrzymywanych było na wysokokalorycznej diecie. Druga trzynastka otrzymywała takie samo pożywienie, w tym jedynym wyjątkiem, iż połowa kalorii w ich menu była dostarczana w postaci alkoholu. Po czterech latach takiego odżywiania cała trzynastka wykazywała różnego rodzaju uszkodzenia wątroby. Ponieważ używano jedynie czystego alkoholu, nie można tych dolegliwości przypisać działaniu różnych zanieczyszczeń mogących się

znajdować, na przykład, w winie czy piwie.

Tak więc, wniosek z tych badań płynie tylko jeden: nie można przeciwdziałać zgubnym skutkom alkoholu nawet jeśli się dobrze je; ważne jest to, ile się pije.

Opracował B. K.



„PUSTA ŁAWKA” „ZA LINIA AUTOWA”

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem w „Odgłosach” dwa artykuły Bogdy Madej — „Pusta ławka” i „Za linią autową”, poświęcone piłkarzom Łódzkiego Klubu Sportowego. Pani Madej poruszyła wiele ciekawych problemów, ale, moim zdaniem, zbyt łagodnie obeszła się z zawodnikami naszej „czotowej” jednostki. Czemu w dwu obszernych artykułach autorka nie napisała ani słowa o przykrych incydentach na boiskach — uczestniczyli przecież w nich często także zawodnicy ŁKS. Ostentacyjnie trzyma się dyskwalifikacji z rocznym zawieszaniem ukarani zostali Dziuba i Drozdowski. Obydwaj za to samo przewinienie — obrazę sędziego. Moim zdaniem, panowie zawodnicy, zamiast prowadzić nieparlamentarne dyskusje z sędziami, powinni po prostu lepiej grać. Takie chyba jest ich zadanie podczas każdego meczu. Dyskutować z sędzią może — i to w odpowiedniej formie — jedynie kapitan drużyny. O ile mi wiadomo, ani pan Dziuba, ani pan Drozdowski, aktualnie tej funkcji nie pełnią.
Smutne to trochę, bo ani dobra gra, ani sportowa postawa zawodników ŁKS się nie wykazują. Może jak spadną do II ligi, to będzie więcej czasu na lepszą pracę wychowawczą.

TADEUSZ B.

(nazwisko i adres znane redakcji)

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...” K.I.G.

zdrowił a potem długo opowiadał anegdoty o tym ciekawym mieście. W dowód wdzięczności, nasi turyści zaśpiewali reż. Felliniemu „Kukuleczkę”. Melodia spodobała się i reż. Fellini obiecał zanieść ją znow. Wtedy starosta wycieczki pozyczył od reż. Felliniego dzieśnię lirów.

ZGODA BUDUJE

W osiedlu Brzusznym Dur, w miejscowej gospodzie „Pod Hajdukami” pojawili się estetyczne napisy: „Zamiast pić idź do kina”. Skutek był natychmiastowy. Gospoda opustoszała. Zrozpaczony Kierownik Gospody w porozumieniu z Kierownikiem Kina wywiesił na ekranie afisz z napisem: „Zamiast siedzieć w kinie — idź na wódkę!” i wszystko szczęśliwie wróciło do normy.

MALPIA ZREĆZNOŚĆ

Znana amerykańska sexgwiazda Tri Day, obserwując igrzyski młodych pawianów stwierdziła z przekonaniem, że od przyrody wiele się można nauczyć.

ALEKSANDER CHLEBNIKOW

OSTATNIA DESKA RATUNKU

Czarna otchłań, różnorodność nieruchomych gwiazd, układających się w gigantyczną sferę, a w jej centrum — znikome ziarenko pojazdu kosmicznego... „Nieustraszone” wracał na Ziemię. Rozpedziwszy się koło Jowisza do prędkości orbitalnej, wylaczył silniki i rok po roku, poruszony siłą przysiągania, bezwładnie mknął do celu: w kierunku złotej gwiazdeczki — ojczyzostwo Słońca.

Mieszkalne pomieszczenia statku są ciemne. Załoga pogrążona w głębokim śnie anabozji. Nieustannie wachają pełni za ludzi GEM — główny elektronowy mózg, obdarzony bez mała ludzkim intelektem. Uważnie kontroluje mechanizmy, zapewniające całkowite bezpieczeństwo ludzkiemu życiu, dokładnie obserwuje

pracę nawigacyjnych i energetycznych układów.
Kiedy do Ziemi pozostał tylko rok lotu, z magnetycznej taśmy, powoli przesuwającej się przez analizator urządzenia, otrzymał GEM sygnał o konieczności przystąpienia do hamowania.
GEM włączył silniki. Jednocześnie zaczął podwyższać stopniowo temperaturę w hipotermicznych kabinach, w których znajdowali się ludzie, a w gazową mieszkankę ją wprowadzać chemiczny stymulator — vitalit. Zbliżał się decydujący moment za równą godzinę ludzie powinni się obudzić.
15 minut od chwili podjęcia działania. Puls i oddech ludzi zmienia się zgodnie z programem — czyni GEM zapis w dzienniku pokładowym.
„45 minut. Wskazania biologicz-

jemu rozumowaniu, przystępuje do działania. Zaczynam odliczać. Od sekund. Start!”

* * *

Biolog oglądał z podnieceniem taśmę dziennika pokładowego. Kolumny cyfr. Symbole formuł. Lakoniczne zdania zarejestrowały beznamietnie wyteżoną walkę o życie ludzi, która dopiero co prowadził GEM, usiłując wyzwolić ludzi z mroku zapomnienia.
— Popatrzyć, vitalit okazał się nieskutecznym. Naruszona została jego struktura... Ciekawe, jaką to ostatnia deska ratunku posłużył się GEM? Dlaczego nie wymienił jej w dzienniku pokładowym?
— Dlaczego nie wymienił, domyślałem się — zauważył cybernetyk — GEM odnotował, że jest to niedostępnego jego pojmowaniu. A ponieważ istota jakiegos zjawiska była dla niego niepojęta, tak też powstrzymał się od jej określenia... Prawdę mówiąc, możemy to wyjaśnić ze szczegółami. Oleg! — zwrócił się cybernetyk do kapitana. — Przysługuje ci, zdaje się prawo do nawijania w wyjątkowych przypadkach bezpośredniego kontaktu z GEMem. Spytaj go więc, coż on takiego wymyślił?
— Odpowiadam — odezwał się

GEM na wezwanie kapitana.
— Jako ostatniej deski ratunku użyłem dźwiękowego kompleksu chaotycznych informacji. Składa się on z elementarnego wylisczenia szeregu przedmiotów i zjawisk. Wymienione w określonym porządku wywołują one ukrytą energię. Jej natura nie podlega się żadnemu z moich określeń i jest, moim zdaniem transcendentna...
— Zaznajom nas zatem jeszcze raz z tą informacją — poprosił kapitan.
— Wypełniam rozkaz — powiedział GEM.

W głosiłku coś szepnęło. I nagle do ciemnego pomieszczenia wdarła się ognista, chwytająca za serce, stara rosyjska pieśń. Jakby nagle ściany się rozpadły, zapachniało mroźnym wiatrem, wonią śniegu i żywicznych sosen.
Głęboki żeński głos, pełen namietności, zapala, wzywając rzuconego samemu losowi, śpiewał o księżycu, który ptakiem przelatuje nad polem, o tym jak lśni się ono srebrzystymi iskrami i jak od spojżenia milej kręci się głowa...
Przełożył: J. INDELAŁ